

Dziś w numerze: Ten inny kwaterunek • Spotkania z Sikorskim • O zlekceważonym ognisku kultury i środowisku nowego odbiorcy • Turniej jednego wiersza • Oczy jak bursztyn • Zemsta kobiety • Recenzje • Felietony • Polonica

odgłosy



Nr 8 (370)
27. II. 1966 r.
10 stron
Cena 1 zł.

TYGODNIK SPOŁECZNO-KULTURALNY ROK IX



KONRAD FREJDLICH

Serce na dłoni

Zgrzyt zatrzymanej windy i zaraz cichutkie popiskiwanie wózka na posadzce. Cichutkie, ale przejmujące, bo mi się wydało w tym momencie, że przez cały blok operacyjny przeleciał szmer.

— Wiozą.

Nawet nie wiem, kto to powiedział: Skotnicki czy Iljin. Obaj chirurdzy zakasawszy rękawy fartucha wyżej łokcia myli się jednocześnie. Patrzyłem na małą kartkę przypiętą pineską do ściany: 19 lat niedomykalność zastawki dwudzielnej serca. Wiek i dolegliwość pacjenta. Patrzyłem więc na kartkę, ale przed oczami miałem utrwalone w pamięci liczby z rocznika statystycznego: zgony w miastach na choroby serca według wieku zmarłych.

Ogółem w Polsce 16.311; w wieku do lat 20 — 274 zmarłych; od lat 20 do 40 — 768; od lat 40 do 60 — 3.526. To tylko w miastach. Na temat wsi statystyki milczą.

Ta wymowa cyfr jeszcze piętnaście lat temu była bardziej złowroga. Wtedy byliśmy zupełnie bezradni. Serce bijące na dłoni, to był rekwizyt poetów. Od 26. III. 1953 r. poeci stracili w tej dziedzinie monopol. Tego dnia w Stanach Zjednoczonych dokonano pierwszej na świecie operacji na otwartym sercu.

W kilka lat później dokonano podobnej operacji w Polsce. Zaszczył pierwszeństwa tego zabiegu przy użyciu krajowego aparatu do krążenia pozaustrojowego przypadek Łodzi. W II Klinice Chirurgicznej AM przy ul. Sterlinga uratowano wtedy życie małego chłopca, Zygmuśowi Tarce. Nazwisko tego pacjenta dobrze pamięta do tej pory jeden z współtwórców sztucznego serca i płuca, znany specjalista w dziedzinie kardiologii prof. dr Jan Moll, który osiem lat temu przyjechał do Łodzi, aby objąć kierownictwo kliniki. Profesor, prawdę powiedziawszy, był wtedy uczulowo bardziej związany z Poznaniem. Mieszkaniec, sentymentami młodości, gdyż właśnie tam, nad Wartą, osiągnął pierwsze zdumiewające sukcesy jako naukowiec. A także przyjaźni z pracownikiem zakładów Cegielskiego, inż. Franciszkiem Płużkiem.

Jest to jedna z tych przyjaźni, która zwłaszcza w nauce, przekształca się w służbę dla ludzkości. Sprzyślenie zburzonych przeciw śmierci, Żadnych odwetu za dotychczasową bezsilność człowieka wobec praw natury. Inż. Płuźek ma osobiste powody do takiej oddatki. Na raka nerki umarła mu żona, Profesor Moll natrzymał mu na śmierć cudzą, ludzi, dla których nie było ratunku. I zbuntował się przeciw tradycyjnej, amputacyjnej chirurgii, w której niesienie pomocy wiązało się z okaleczeniem człowieka, obcinaniem członków ciała, usuwaniem narządów. Profesorowi zamarzyła się chirurgia naprawcza.

Spotkali się zupełnie przypadkowo. Profesor zaszedł do zakładów Cegielskiego, aby odwiedzić koleżkę lekarza, który zmienił zawód na metalowca. Ex-doktor przedstawił mu inż. Płużka, który już wtedy czekał na moment odpłaty za śmierć żony. Rozmowa obu panów zaczęła się od uwagi na temat wielotomowej „Anatomii człowieka” Bochenka. Inżynier ją właśnie dokładnie przestudiował.

Od tej pory zaczęli się spotykać często. Któregoś zaś dnia obiegnęła szpalty wszystkich gazet wiadomość o konstrukcji aparatu do krążenia pozaustrojowego Polskie sztuczne płuco i serce stało się faktem.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

POTEM odłożyli BRONI

„Szwajsowany”, „Prawus” i „Błysk” chodzą dzisiaj bez broni, bo w pięćdziesiątym czwartym nie było już po co, i rozkaz przyszedł, żeby złożyć.

Rzucili ją wtedy na kupę — niby stare żelastwo, i mało kto widział, jak „Szwajsowany” zbladł, jak „Prawus” zęby zacisnął i „Błysk”.

W pięćdziesiątym czwartym ją złożyli, na ziemię gniewnie ciskając: „Szwajsowany” z „Prawusem” — pepesze, a „Błysk” — karabin niemiecki, z którym wyszedł z lasu, gdy bandy żyć przestały i wyrosł. Na nich trawa...

A zaczęło się wszystko już po wojnie, w czterdziestym szóstym; po wsiach i miastach ludzie pili za zwycięstwo — mdlawy bimber ogórkami zagryzając, ale muzyka wojskowa grała jeszcze tu i ówdzie z płyt

skrzekliwych, pojedyncze strzały było słychać, i z murów rozwalonych pył z wolną opadał, odsłaniając cmentarze i zgłiszczą...

1.

Ja, Władysław S., z przydomkiem od bandytów: „Szwajsowany”, wstąpiłem do ORMO w 1946, bo mnie „Bystry” ojca zabił i matkę...

Mój ojciec był komunistą i kartki od „Bystrego” dostawał z wyrokiem śmierci. Rozwalił go na drodze do domu, która przez zagajnik biegła, a matkę bagnetami w łóżku zakłuli jeszcze przedtem, żeby go ostrzec nie zdrażyła.

Ja, Władysław S., pseudo „Szwajsowany”,

Dalszy ciąg na str. 4

Dalszy ciąg na str. 4



Na przekór zainteresowaniem opinii publicznej, które niezmiennie kierowane są w stronę Wietnamu — poświęćmy dziś na ustępie nieco uwagi kryzysowi rządowemu we Włoszech. Kryzys ten utrzymuje się od dłuższego czasu i dopiero w ostatnich dniach zarysowały się możliwości jego rozwiązania.

Oficjalnym powodem upadku rządu, żeby przypomnieć Czytelnikom, był projekt ustawy o przedszkolach. Sprawa ma już swoją długą historię i przedstawia się w skrócie następująco:

Lewica od dawna domaga się utworzenia państwowych przedszkoli, co miałyby odebrać utrzymywany do tej pory monopol klerowi. Chadecja ze zrozumiałych względów oponowała przeciwko postawieniu tej sprawy w parlamencie. Kiedy jednak partia socjalistyczna uczyniła z tego warunek udziału w rządzie, sprawę podjęto, lecz jednocześnie próbowano projekt ustawy znacznie osłabić, przenosząc ciężar budowy tych przedszkoli na władze samorządowe. Propozycje te nie przeszły. I to z trzech powodów: komuniści odmówili poparcia tak okrojonej ustawy, skrajna prawica odrzuciła ją jako... zbyt postępową, zaś część chadeckiej doszła do wniosku, że jest świetna okazja, by dać wyraz rozbieżnościom w partii chrześcijańsko-demokratycznej...

Upadek rządu Aldo Moro tylko częściowo więc wiąże się z ustawą o świeckich przedszkolach. W dużym stopniu jest on wyrazem trwającego od dawna rozbitcia chadeckiej i ma niewątpliwie związek z wcześniejszą nieco dymisją min. Fanfaniego — przywódcy jednego z najbardziej prężnych ugrupowań partii. Jego polityka jako ministra spraw zagranicznych budziła zastrzeżenia innych ugrupowań jako „zbyt elastyczna”.

W tej sytuacji kryzys rządowy stał się twardym orzechem do zgryzienia. Podstawowa trudność przy jego rozwiązaniu polegała na tym, że jeśli przy tworzeniu rządu centralitycy Moro musieli przekonywać swoich partyjnych kolegów, by weszli do rządu, teraz zbyt wielu było amatorów na kierowników tzw. ministerstw politycznych (spraw zagranicznych, obrony i spraw wewnętrznych). Gorzej jeszcze, że jednym z nich był Scelba, „ustawiony” ostrymi represjami policyjnymi w roku 1950, na udział którego w rządzie nie godzili się socjaliści.

W chwili, gdy przygotowuję komentarz do druku, Aldo Moro, któremu prezydent powierzył misję utworzenia nowego rządu, ustala ostatecznie skład gabinetu. Obserwatorzy polityczni w Rzymie tej kolejnej próbie ręką nadzieje, które związane są z dwoma kompromisami: zewnętrznym i wewnętrznym. Pierwszy polega podobno na tym, że socjaliści zgodzili się na wprowadzenie do nowej ekipy dwóch przedstawicieli prawicowej

grupy chadeckiej, ale bez Scelby, w zamian za co Nenni pozostanie jedynym wicepremierem, i na powołanie ministerstwa obrony — socjaldemokracji, drugi — na powrocie Fanfaniego na stanowisko ministra spraw zagranicznych.

Jeśli nie zajdą nieoczekiwane zmiany, nowy gabinet składać się będzie z 14 chadeków, 6 socjalistów, 3 socjaldemokratów i 1 republikanina.

Nie bawiąc się w prorocтва — zawsze w takim wypadku niebezpieczne — co do trwałości tego rządu, przypomnijmy słowa „Unity” sprzed kilkunastu dni:

„Za dymisją rządu kryje się fiasco polityki centralitycy. Dlatego zdumny jest pogląd, że formule tej można nadać nowego wigoru”.

Jakie może być trwałe rozwiązanie?

Wskazał na nie XI Zjazd Włoskiej Partii Komunistycznej. Jest nim sojusz wszystkich sił postępowych.

W chwili, kiedy Czytelnicy wezmą do ręki „Odgłosy”, dobiegnie końca zapowiedziana na 21-24 lutego wizyta premiera Wilsona w Związku Radzieckim. Trudno jest tuż przed wizytą pisać o jej znaczeniu. Tematem rozmów może być szeroki wachlarz zagadnień międzynarodowych, a przede wszystkim kryzys wietnamski.

Związek Radziecki i Wielka Brytania — jako współprzewodniczący konferencji genewskiej — mogłyby nie wątpliwie odegrać ważną rolę w tym kryzysie. Cóż, kiedy W. Brytania popiera wietnamską agresję Stanów Zjednoczonych. Bez wycofania tego poparcia o żadnym jej konstruktywnym udziale nie może być mowy. Dlatego też w tym domniemywanym punkcie rozmów nie należy oczekiwać postępu.

Pożyteczna natomiast może być wymiana poglądów na temat perspektyw zawarcia układu o nierozpowszechnianiu broni jądrowej oraz rozwoju stosunków bilateralnych na płaszczyźnie ekonomicznej i technicznej.

Skoro już o Wilsonie mowa — powtórzmy za licznymi źródłami brytyjskimi, że przywódca Partii Pracy nosi się podobno z zamiarem rozpisania nowych wyborów do parlamentu i to gdzieś pod koniec marca. Są to na razie tylko pogłoski, ale mające swe uzasadnienie w pomysłach dla laburzystów chwili w sytuacji wewnętrznej.

Jest bardzo prawdopodobne, że Wilson zechce to wykorzystać, by umocnić przewagę swej partii — teraz więcej niż skromną i dlatego bardzo dla rządu kłopotliwą — nad konserwatystami.

Próbować dziś skorzystać z tego, że w konflikcie wietnamskim nie było w ostatnich dniach większych nowości i na inne wydarzenia. Trudno jednak od tego tematu uciec zupełnie. Dlatego zanotujmy, że problem wietnamski był przedmiotem debaty komisji zagranicznej w senacie USA, gdzie doradca prezydenta — Taylor długo wyjąśniał, że „Stany Zjednoczone nie mają innego wyjścia — tylko kontynuować obecną politykę” oraz że temu problemowi poświęcił swe kolejne przemówienie Johnson.

Zanotujmy także ostrą krytykę ze strony Francji wietnamskiej polityki USA oraz nie potwierdzone jeszcze wiadomości o zamierzeniach U Thant'a podjęcia nowej inicjatywy.

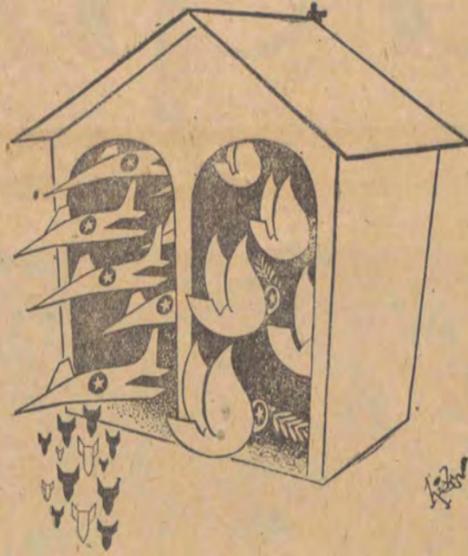
W. ŚLAWSKI

Tkronika TYGODNIA

■ Bawiąca pod koniec ubiegłego roku w wielu krajach Dalekiego Wschodu grupa kongresmenów amerykańskich stwierdziła, iż najbardziej drażliwym punktem w stosunkach między Japonią a Stanami Zjednoczonymi jest problem wysp Riukiu. Mieszkańcy tych wysp domagają się powrotu do macierzy.

jej w broń atomowa włącznie.

■ Według doniesienia Ost-West-Kurier na mocy umowy zawartej w roku ubiegłym pomiędzy odpowiednimi organami gospodarczymi Związku Radzieckiego a włoską firmą Fiat, Włosi wybudują w Związku Radzieckim fabrykę samochodów osobowych o



Znowu zmiana pogody (Die Welt)

Stany Zjednoczone jednakże wyspy te przekształciły w olbrzymi poligon wojskowy. Zainwestowano tam, głównie na Okinawie, ponad 1 miliard dolarów. W rejonie tych wysp znajduje się 65 baz okrętowych, 24 bazy lotnicze, a osławieni „marines” stacjonują w 15 bazach.

■ Stany Zjednoczone wystąpiły z żądaniem wobec reżimu południowokoreańskiego podwojenia ilości wojsk koreańskich, biorących udział w walkach w południowym Wietnamie. Powyższe żądanie ambasadora USA w Seulu spotkało się z nieoczekiwaną dla mocodawców reakcją. Atmosfera dyskusji — piszą seulskie gazety — była taka, że po jednej z konferencji po zostały skropany z filizanek. Ta sensacyjna — niesubordynacja władz południowokoreańskich nie wynika bynajmniej z dążenia Seulu do ograniczenia swego zaangażowania w konflikcie wietnamskim. Reżim południowokoreański pragnie tą drogą wywierać na Stanach Zjednoczonych, między innymi, moderację armii z wyposażeniem

dziennej zdolności produkcyjnej 4000 wozów. Przewiduje się między innymi masową produkcję małych Fiatów 500 i 850 cm.

■ Moskiewski dziennik „Prawda” zamieszcza artykuł członka Akademii Nauk ZSRR A. Aleksandrowa „O moralno-politycznym aspekcie pracy naukowej”. Autor pisze między innymi o występujących jeszcze zjawiskach subiektywizmu w nauce, wyrażających się w opieszałości, wahanach, wątpliwościach przy stawianiu problemów i rozwijaniu pewnych ważnych

Wierzę, że nasz rozwój zmierza ku kulturze, w której pewną rolę odgrywać będzie głowa.

DAVID SUSSKIND

dziędzin nauki np. socjologii, atakach na lingwistykę matematyczną itp. Wnieść prawdziwy wkład do jakiejś dziedziny nauki znaczy to zbie-

■ Przewodniczący parlamentu szwedzkiego przedłożył wniosek o przyznanie pokojowej nagrody Nobla za rok 1966 sekretarzowi generalnemu ONZ U Thantowi.

■ Na łamach prasy ZRA pojawiają się artykuły domagające się podjęcia środków zaradczych przeciw nadmieremu przyrostowi naturalnemu. Publicysta jednego z dzienników kairskich proponuje cofnięcie dodatków rodzinnych i innych przywilejów przewidzianych w ustawodawstwie wobec rodzin wielodzietnych, w stosunku do trzeciego i następnego dzieci w rodzinie. Polemizując z poglądem, że takie decyzje byłyby niehumanitarne, autor pisze: „Trudno, niechaj ludzie-króliki poznają swoje zobowiązania wobec społeczeństwa”.

■ Fotoreporter jednej z włoskich gazet znalazł się w prawdziwych opałach, kiedy w Rzymie usiłował sfotografować grupę amerykańskich kobiet, protestujących przeciwko nowemu filmowi włoskiemu „Małżonka z Ameryki”, w którym kobiety amerykańskie pokazano jako bardzo porzywcze i agresywne osoby. Rozjuszone uczestniczki marszu zaatakowały niezachowanego reportera, okładając go pięściami i pantoflami. Reporter salwował się ucieczką.

■ Wyniki przeprowadzonych niedawno przez Instytut Gallupa sondaży ankietowych wskazują na znaczną ewolucję poglądów społeczeństwa amerykańskiego odnośnie polityki zagranicznej demokratycznej administracji Johnsona. O ile w 1964 roku, w sierpniu, 2/3 respondentów wyraziło opinie, że partia demokracyczna skutecznie niż republikanie zapobiegłaby włączeniu Stanów Zjednoczonych do trzeciej wojny światowej, obecnie tylko 31 proc. zapytanych było tego zdania. 48 proc. uczestników ankiety odpowiedziało, iż nie widzi różnicy w tym względzie między oboma partiami.

■ W sprawozdaniach prasowych z podróży królowej angielskiej Elżbiety II opis ubioru królowej nie jest sporządzany przez dziennikarzy. Z każdej uroczystości z udziałem Elżbiety II reporterzy otrzymują notę, tak jak bywa przy przekazywaniu wiadomości, stanowiących tajemnicę państwową, z podaniem szczegółów ubioru królowej. Informacja redagowana jest przez osobistego krawca królowej, następnie uzyskuje akceptację damy dworu i da jej przez rece sekretarza prasowego Elżbiety przekazana zostaje zainteresowanym dziennikarzom.

■ Wiadomość o przyznaniu przez amerykańską organizację „Freedom House” „Nagrody wolności” prezydentowi Johnsonowi na znak „podziwu dla nadzwyczajnych wyników uzyskanych przez prezydenta w kampanii amerykańskiej na rzecz wolności” wywołała żywe protesty kół krytykujących wietnamską politykę Wa-

CO BY BYŁO — GDYBY BYŁO?

Co by było, gdyby nagle przestała działać nasza telewizja? Wbrew pozorom nie jest to pytanie błahe, choć czysto teoretyczne, wiadomo bowiem, że telewizja gra i grać nam będzie. No, ale proszę sobie wyobrazić taką właśnie sytuację — nie gra, nie ma telewizji. Co się wtedy stanie?

Jedni powiadają, że nie się nie stanie. Chłopi będą orać na wiosnę bez audycji dla wsi, będziemy nadal obkładać języki obce, może nie tak nowoczesnymi, audiowizualnymi metodami, ale za to skutecznie, przeżyjemy bez większego trudu telewizyjny program filmowy, mamy przecież jeszcze kina, nie będziemy oglądać w dziennikach i audycjach publicystycznych niezliczonej ilości ciał prezydialnych, czego — rzecz prosta — żal, ale przeboleć można. A nasza polityka kulturalna i tak się nie zmieni.

Inni znowu twierdzą, że kiedy telewizja przestanie działać, nastąpi powolny upadek Towarzystwa Higieny Psychicznej, równocześnie zbankrutują powoli lekarze chorób nerwowych i odpowiedzialnie instytucje leczenia. A to dlatego, że ludzie przestaną się denerwować rozkosznymi twarzami spikerów przepraszających za zanik fonii, albo wizji, za przerwy, zakłócenia na trasie łącz, wysiadki teledana, awarie urządzeń studyjnych i stacji przekazywanych, albo za brak prądu, odpowiedzialnego aktora, czy pozwolenia na pokazanie zapowiedzianego filmu, słowem za wszystko co telebionta współczesnego i prywatnego „wnerwia” bez przerwy i bez awarii. Ludzie ci twierdzą, że istnieje propozycja odwrotna między rozwojem sieci telewizyjnej i sieci nerwowej człowieka. Jeżeli pierwsza zanika, to druga przeciwnie — regeneruje się.

Jeszcze inni powiadają, że gdyby telewizja przestała działać — musi nastąpić narodowa katastrofa. Przestaniemy się śmiać, ponieważ nie będzie nas miał kto bawić. Jest to stanowisko słuszne i — przy okazji — w poważnym stopniu uzasadniające istnienie telewizji. Istotnie, czasem trudno o lepszą zabawę. Przed kilku dniami powiada spiker podczas krajowego Dziennika Telewizyjnego, że na świecie wychodzi blisko 300 milionów gazet. Jeżeli to prawda, to ilu jest dziennikarzy na świecie? Liczę już po trzech na redakcję, a wiec odbiegam od naszych krajowych standardów. Ostatecznie zła gazeta może robić nie tylko czterdziestu, ale i trzech dziennikarzy, z czego wynika, że mamy na świecie blisko mi-

liard redaktorów. Czegoś podobnego nie wymyślił tak łatwo zwykły telebionta.

W ubiegłym tygodniu telewizja łódzka uraczyła cały kraj audycją z cyklu — historia jazzu. Scenariusz i oswem, nie był zły, ale że nikt niczego nie umiał, tandem tedy przedstawiono nam rzekomą próbę. A więc aktorzy nie grali, a jeden to w ogóle trzymał sobie kartkę na kolanach i spokojnie czytał swoje kwestie. Najbardziej prowincjonalny zespół amatorski nie mógłby tego wymyślić i tak nas przy okazji zabawić. Więcej — niech gra, dla dobra rozwoju „samopoczucia humoru”.

Ale nie tylko dlatego. Ostatnio przeczytałem w „Kurierze Polskim”, że w Opolu rozgorzała na nowo wojna telewizyjna. Przyczyna, czego belli, jest bardzo prosta. Na telewizory telebiontów z Opoli i dość rozległej okolicy posiadają wpływ dwa nadajniki — katowicki i wrocławski. Jak ktoś sobie nastawi katowicki, to sąsiad nie może odbierać programu z Wrocławia, ponieważ mu miga, charczy i odwołnie. Wskutek tego zwiększa się tempo życia towarzyskiego i sąsiedzkiego, no, bo sąsiad musi uzgodnić z sąsiadem, a jak się nie da, to wytłumaczyć inaczej, że powinien tego słuchać, a nie tamtego. W związku z uruchomieniem potężnego nadajnika w Górach Świętokrzyskich podobna sytuacja może powstać i na Kielecczyźnie, a wtedy i tam pójdzie w górę krzywa energetycznych dyskusji.

Można by — na dobrą sprawę — włączyć i radiofonie w nurt dyskusyjny. Chociażby Łódź. Jak wiadomo Łódź posiada dość silną stację, ale gra na małym zasięgu, no, bo gdyby grała na pełnym gazie, to by weszła na fale bodaj Lublina i chyba jeszcze jednego dużego miasta, więc musi grać tylko do Piotrkowa i Łasku oraz z powrotem. A właściwie dlaczego? Jeżeli może wybuchnąć wojna skuteczna z powodu telewizji w Opolu, dlaczego radio ma być gorsze, skoro jest urządzone z taką samą głową, a może jeszcze lepszą niż TV.

Tak więc zagadnienia TV i radia nie należy bynajmniej sprowadzać wyłącznie do programu, te dwie fonie i jedna wizja mogą wpływać na stosunki między ludźmi niezależnie od programu jaki nadają.

Wierbanjarski



gaoić ją w badania podstawowe. Cel ten — pisze w zakończeniu prof. Aleksandrow — można osiągnąć tylko wówczas, gdy istnieje swoboda i odwaga w stawianiu problemów, poszukiwaniu ich rozwiązań, gdy swobodę tę popiera się, nie tłumii.

■ Combat: „Erhard wstydzi się tylko jednego: tego, że nie może wziąć udziału w azjatyckiej rzezi wraz ze swym świętym patronem Lyndonem Johnsonem”.

■ Z dużym niezadowoleniem przyjęto w Anglii rysunek angielskiego artysty Thomsona, przedstawiający obrady Izby Lordów. Powodem irytacji pewnych kół był fakt, iż na obrazie wymieniono jego malarza widniało zaledwie 130 członków Izby, natomiast 2 członków Izby artysta ukazał jako śpiących. Odpierając zarzuty Thomson powiedział: chciałem być realistą. Tych dwóch gentlemanów naprawdę spało...

szynhtonu. Utworzony w tych okolicznościach „Komitet Ma-

Dzisiaj trzeba więcej odwagi, aby zakazać jakąś satyrę polityczną, aniżeli ją tworzyć.

WERNER FINCK

nifestacji” zamierza dać wyraz swej dezaprobacie w manifestacji na lotnisku nowojorskim w dniu przybycia prezydenta po odbiór tej nagrody, jak też, zamierza on wreczyć swoją własną „Nagrodę wolności” Julianowi Bondowi, Murzynowi, wybranemu do Izby Reprezentantów stanu Georgia, któremu Izba ta odmówiła prawa zasiadania w tym organie, z powodu iż osmielił się on uznać poczynania USA w Wietnamie za agresywne.

TEN INNY KWATERUNEK

Na to wspomnienie i dziś jeszcze robi się słabo. Zbity tłum gromadził się na Hutora już w sobotę po południu. Nieprawdopodobny ścisk, rozgardiasz, przekleństwa i bójk. Rozgorączkowane, to znów kamienne twarze. Smutek, rozpacz, gorycz, wściekłość. Przed laty samo słowo — Kwaterunek — wywoływało dreszcz grozy. Inferno na Hutora dobrze zapisałem sobie w pamięci. Dlatego spokój w gmachu przy ul. Roosevelta tak mnie zaskoczył, minę miałem do tego stopnia zdziwioną, że sekretarka pospieszyla z wyjaśnieniem:

— Dziś załatwiamy tylko sprawy specjalne...

Rzeczywiście, z gabinetu dolatywał jakiś podniesiony głos.

— To trudna sprawa — ciągnęła sekretarka — małżeństwo jest rozwiedzione. On mieszka w jednym pokoju z nową żoną i nowym dzieckiem, ona, to jest jego była żona, mieszka z nowym mężem i nowym dzieckiem w tym drugim pokoju. Kuchnia jest wspólna, łazienka też... Mieszkania nie da się podzielić żadną miarą, więc komu je przydzielić? Niedawno mieliśmy tu inną sprawę do rozpatrzenia. Małżeństwo po rozwodzie w kuchni, jego była żona zajęła pokój. Drzwi zamurowali, żeby się więcej nie widzieć na oczy. Ale po 15 latach oboje zaczęli znów mieć się ku sobie. Zeszli się po cichu i wzięli ślub. Poprosili jednak, żeby ich przekwaterować, bo wstydził się sąsiadów. Przekwaterowaliśmy...

Ten wstęp jest tylko pretekstem do omówienia mieszkaniowego problemu w jego nowym aspekcie.

Dzisiejszy Kwaterunek nie ten sprzed lat. Jego kompetencje są ustalane z aptekarską precyzją. Do rozstrzygnięcia na kwestie nietypowe, szczególne, nie mieszczące się w uchwalach podjętych na ministerialnym szczeblu. Ogromny niegdyś obszar działania Kwaterunku gwałtownie się skurczył. Gdzie spojrzeć paliki o groźnym wyglądzie paragrafów. To twoje, a za miedzę nie wychylał się. Generalna zasada, która spełniała funkcję głównego siła, przez które filtruje się wszystkie podania, brzmi:

— Jeśli miesięczny zarobek na głowę członka rodziny przekracza 800 złotych, wówczas taka rodzina nie może w żadnym razie dostać mieszkania z przydziału rady narodowej...

Nowy kurs mieszkaniowy dopiero nabiera rozpędu. Kwaterunek natomiast istnieje od lat. Ciągnie za sobą ogon spraw do załatwienia. Próba o mieszkanie wpłynęła przez te lata 58.000. Czy nie ugrzeszy w głębszej studni o dnie do tego podwójnym? Nie, do końca 1965 roku 24.000 tych prób uwzględniono, choć trudności były nieprzebrane. Przeszkód całe góry. W jakimś gigantycznym slalomie, przy maksymalnym napięciu finansowym, udało się wyprowadzić z samych tylko nadmiernie zareszczonych ruder 15.000 rodzin. W mieszkaniowych suterrenach nie ma już w Łodzi nikogo.

Poteżna ściana placu pękła i rozpadła się — ale nie rozpadła się na całej długości. Prawie 12.000 petentów Kwaterunek skierował do spółdzielni mieszkaniowych. Ponad 4.000 podań odrzucił jako niezasadnione. Jeśli obywatel uważa, że warunki ma nieodpowiednie, to wolna droga, niech

obywatel stawia domek jednorodzinny, bo nie ma nawet przesłanek, by obywatela przyjąć do spółdzielni... Wciąż jednak żyje jeszcze w Łodzi 17.000 rodzin w warunkach czasem bardzo trudnych. Zarobek tych rodzin jest tak niski, że o wstąpieniu do spółdzielni mowy być nie może. Prawie 9.000 z nich uzyska mieszkania z puli Kwaterunku do 1970 roku. Pozostałe 8.000 rodzin w następnej pięcioletce.

Taka jest prawda, sądzę, że mimo wszystko jest lepsza od półprawdy.

Takie jest mieszkaniowe saldo w mieście Łodzi na początku 1966 roku. Trzeba je będzie brać wciąż od nowa pod lupę, jako że uchwały zmieniają się. Stare, które się przeżyły zastępuje się nowymi. Dość, że przez długi jeszcze czas 17.000 rodzin studiować będzie z wypiekami na twarzy mityczne już wywieszki o przydziale mieszkań w dzielnicowych radach. Jest moje nazwisko, czy go nie ma? Mój Boże, znowu przeleciał rok...

Jeszcze o 1700 rodzinach, które wprowadzono w błąd.

Miały się one wprowadzić do nowych izb kwaterunkowych. Jubel był powszechny. Potem decyzje uchylono i jubel przekształcił się w zgrzytanie. Zaczęły obowiązywać nowe postanowienia. Łódzki Kwaterunek chciał, nie chciał, uwzględnić je musiał. Tak więc 1700 rodzin zawiadomiono, by szukały sobie mieszkań w spółdzielniach. Kilkaś z tych rodzin bez chwili zwłoki podjęło meska decyzję, otwierając książeczkę mieszkaniową. Inne wciąż czekają, choć nikt już nie wie na co. Dotykam tej sprawy tylko czubkiem pióra, tak jest drażliwa.

Warto na ten cały dylemat zerkać pod innym, jeszcze katem. 1700 rodzin skierowano do spółdzielni z urzędową, jasno sformułowaną adnotacją: Zażalwić poza kolejnością!

Zarząd spółdzielni schylił czoła. Wypadek jest w istocie szczególny. Trzeba go potraktować w sposób wyjątkowy. Ale za drugim razem Związek Spółdzielni Mieszkaniowych postawił się. Złożył jak najbardziej zdecydowany sprzeciw.

Reprezenta była ostra, zdecydowana, słychać, że zrobiła wrażenie.

Jest niezaprzeczalnym faktem, że Kwaterunek przestał być wyłącznym autorytetem mieszkaniowym. Wyrósł nowy. Młodszy, przebiegszy. Taki z wielką przyszłością. Jaki zatem regulamin obowiązuje ten inny Kwaterunek — spółdzielczy? Wpierw tytułem wprowadzenia dorucze, że w Łodzi działa na mieszkaniowej niwie 5 spółdzielni — „Lokator”, „Bawelna”, „Osiedle Młodych”, „Przyszłość” i ostatnio „Łódzka Spółdzielnia Mieszkaniowa”. Kolorowe, wielopiętrowe, wielkokokienne bloki buduje się na Teofilowie, Dolach, przy Obywatelskiej, Fornalskiej, przy końcu Jaracza, na Dąbrowie i na Zubardzku... Rozmach jest już teraz duży. W tym roku spółdzielnia postawiła 2000 mieszkań — mieszkań, nie izb.

Po dziś dzień nie pojmuję, czemu kuchnie uważa się za statystyczną izbę, skoro do nowych kuchni tapczanu ani łóżka nikt nie zdoła wsunąć, więc kuchnie do zamieszkania się nie nadają. W przyszłym roku spółdzielnia wybudują 3500 mieszkań. Do 1970 roku ukończy się w Łodzi 100.000 izb, z czego 65.000 spółdzielczych. To już jest coś. To już jest budownictwo, które gna z wyłączonego hamulcem. Poszukiwano różnych dróg, ostatecznie wybór padł na spółdzielczość.

W perspektywie 2 najbliższych pokoleń Łódź przekształci się w miasto niemal całkowicie spółdzielcze.

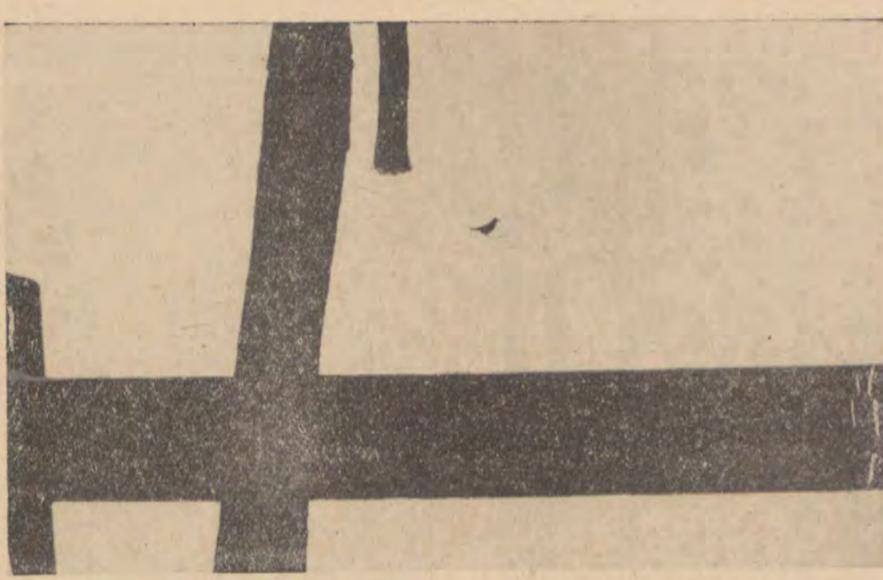
Któż by się tego spodziewał? Spółdzielczość miano budować na wsi, masz łobzie, weszła szerszym frontem do miasta Łodzi, niż do Łódzianowa. Miało być jednak o regulaminie. Jest on skonstruowany z wojskową prostotą. Przystankiem, na którym wsiada się do tramwaju z napisem — mieszkanie — jest PKO. Staż kandydacki trwa 3 lata. Pierwsza wpłata waha się od 4.500 do 9.000 złotych. Spółdzielnie mieszkaniowe zrzeszają już w Łodzi 5.000 członków i 15.000 kandydatów.

Kto zapisze się dzisiaj do jednej ze spółdzielni, może liczyć na mieszkanie około 1970 roku.

Nie wcześniej, nie oddajemy się złudzeniom, mówimy sobie przecież całą prawdę.

Tę wspaniałą do nowych mieszkań wprowadza się spółdzielcy, którzy dokonali pierwszej wpłaty w latach 1961—1962. Równowo to równość.

W kolejkę czekamy wszyscy, choć posuwa się ona powoli, za to w rytmie jednostaj-



Fot. Andrzej Pukaczewski — „Kompozycja z ptakiem”.

nym i raczej niezmaconym. Inna sprawa, że nawet ta reguła musiała zostać potwierdzona wyjątkiem. Naczelna instancja mieszkaniowa w Łodzi jest od pewnego czasu Komisja Koordynacyjna Rozdziału Mieszkań. W jej skład wchodzi wąskie grono osób na wysokich i bardzo odpowiedzialnych stanowiskach.

Mocą odgórnego zarządzenia spółdzielnie oddają do wyłącznej dyspozycji tej właśnie komisji 5 procent swej rocznej puli. Tym samym komisja rozstrzygnie komu przypadną w tym roku 104 mieszkania. Rozdzelił się je zresztą na zasadzie priorytetu. Komu? Dyrektywy są sprzeczowane dość jasno. Mieszkania otrzymają w trybie natychmiastowym ludzie przeniesieni do Łodzi służbowo. Absolwenci wyższych uczelni, podejmujący prace zgodnie z umową o stypendium. Inne osoby, również takie, które straciły dach nad głową wskutek działania sił wyższych.

Czemu wszakże wysokość wkładu jest rozmaita i może niekiedy sięgać 9.000 złotych?

Dlatego, że wkład jest pochodną standardu a łódzka spółdzielnia buduje w dwóch standardach — podstawowym i wyższym. Podstawowy standard to podłogi z gumolitu lub plastycznej masy, beton w kuchni i w przedpokoju, to brak wanny w łazience i piecyka gazowego w kuchni. Wielkość izb jest natomiast znormalizowana — w obydwu standardach jednaka. Technologia jest również ta sama. Prefabrykaty. Różnica w cenie jest jednak wyraźna. Kto wybiera mieszkanie w standardzie podstawowym wpłaca 15 procent kosztów budowy, resztę należności rozkłada się mu na 60 lat. Przy wyższym standardzie, z punktu wpłaca się do PKO 20 procent ceny mieszkania, resztę trzeba uiścić w ciągu 45 lat.

Rzecz interesująca, która jest w pewnym sensie wykładnikiem stopy życiowej.

Tylko 30 procent łódzkich spółdzielców wybrało mieszkania w podstawowym standardzie.

Pozostali wola wyższy, choć metr kw. w takim budownictwie kosztuje 1930 złotych, zaś w podstawowym tylko 1650. Taniej i jeszcze ciszej już nie można. Czyż nasze panie nie skarżą się, że w tych „nowych kuchniach” obijają sobie biodra? W Łodzi obowiązują następujące normy — Typ M-1, kawalerka, może obejmować 20 m kw., M-2 — 30 m kw., M-3 — 38 m kw., M-4 — 45 m kw., mieszkanie dla 5-osobowej rodziny; więc M-5 zajmuje powierzchnię 56 m kw. Te normy stanowią wypadkową wielu skierujących się poglądów. Są też syntezą naszych aktualnych możliwości.

Jednym z wyróżników społecznego budownictwa nie jest wcale jego wysokość lecz niskość. Co nazywamy wieżowcem, tylko udaje wieżowiec. Stara, wysłużona kamienica o 6 piętrach ma te same wysokości co nowoczesny „wieżowiec” 9-piętrowy.

Łódź posiada tylko jeden wieżowiec. Ten, na którego szczytce poci się najmłodsza muzyka — telewizja. Na dalsze trzeba będzie

czekać dość długo. Najtańszy jest dom 5-piętrowy. Powyżej 5 pięter koszty często wznoszą o 25 procent. Polak dziś nie ten. Ma węża w kieszeni. Nie żyje na pokaz jak Latynosi w Buenos Aires. Wpierw zrównajmy „Dolę”, potem zaczniemy je podciągać na wyższe i wyższe piętra. Ale nie na pokazowej awenidzie, lecz wszędzie, także na przedmieściach.

Może nam autor wyjawia, w którym ze spółdzielczaków chciałby sam zamieszkać?

Hm, wybór wcale nie jest trudny.

Czy oglądaliście „dolarowy” dom przy Narutowicza 105? Warto go obejrzeć. Jest nietypowy. Nie siedzi w żadnej ze znanych nam technologii. Wskakuje z przyjętych powszechnie ram. Wszystko tu inne. Solidne, trwałe, porządne. Okna są oknami, a drzwi są drzwiami. Zamykają się. I żadne tam prefabrykaty. Staroświeckość. Cegła i jeszcze raz cegła. Zaprawdę powiadam wam, że nadejdzie dzień, w którym pocałujemy na przeprosiny staropolską cegłę. Tak jak zaczynamy już przepraszać popeliny i merynosy.

Zostawmy. Ile kosztuje mieszkanie w dolarowym domu? Za zwykła kawalerkę trzeba wybułi 1300 dolarów. To rozbój? Ja bym nie powiedział. Zależy jak dolar przeliczymy. Po jakim kursie. Bo są różne. Jest sweterkowo-nylonowy. Bardzo wysoki. Jest mięsno-żywnościowy. O połowę niższy. Jest transportowo-komunikacyjny. O dalsze 30 procent niższy. Jest wreszcie kurs mieszkaniowy, według którego dolar nie jest więcej wart na Zachodzie niż 20—25 złotych. Może nawet mniej. Czy te „małe Ameryki” są u nas w ogóle potrzebne? Czy nie wywołują smutnych refleksji? Może i wywołują. Ale dolar też nie śmierdzi. Też jest potrzebny. Też można go zaprzęgnąć do wielkiego wozu — gospodarki narodowej.

Nie o to chodzi, chodzi o coś całkiem innego. Chodzi o to, by solidne, ładne, komfortowe domy stawały również za złotówki. Niech m.k.w. powierzeni mieszkaniowcy kosztuje w takim domu nawet 2 razy więcej niż gdzie indziej. Mało to u nas takich, którzy obrócili w złotówkowe piórka? Których stać na bardzo wiele? Czemu nie znaleźć ujścia dla gotówki, która leży? Czemuż spółdzielczość nie ma budować domów na osobne zamówienia, jak ten dolarowy przy Narutowicza? Polacy nie ges i swój pieniądz mają. Przynajmniej we własnym kraju chcieliby zań kupić, na co mają akurat ochotę. Myśle, że wielka rozmaitość ludzkich potrzeb i możliwości powinna być uwzględniona również w budownictwie.

Nie każdy kupuje przecież w Motocykle „Syrenki” dlatego, że krajowe. Czemu więc każdy ma kuować w tym innym Kwaterunku tylko M-1, skoro ma tyle złotych, że mógłby kupić D-1? Czyż nie przesuwają się mieszkań za „sfery spójności zbiorowego do sfery spójności indywidualnego”? To pojecie nosi w sobie pewien aksjomat. Indywidualny, więc taki, który jednostce odwołuje. Dajmy więc spółdzielcom więcej możliwości wyboru. Miasto tylko na tym zyska.

Doc. WŁADYSŁAW BORTNOWSKI

HISTORIA POLSKI W CZECHACH I SŁOWACJI

Przeciwny inteligent czeski czy słowacki niewątpliwie wie znacznie więcej o Polsce, niż jego polski kolega o Czechosłowacji. Jest to wynik nie tyle „zagranicznych wojaży”, ile stosunkowo szerokiej informacji o Polsce na terenie Czechosłowacji, która nie ma odpowiednika u nas. Polskie ośrodki kulturalno-informacyjne w Pradze i Bratysławie potrafiły zainteresować swą działalnością znaczne grupy oby-

wateli czechosłowackich (pokazy filmowe, prelekcje, spotkania, sprzedaż prasy, książek i wyrobów przemysłu ludowego). Lecz bardziej ważne wydaje się szerokie informowanie czytelników przez czasopisma społeczno-literackie o życiu kulturalnym i politycznym w Polsce.

„Literaturni Noviny” (Praga) i „Kulturni Život” (Bratysława) stale prowadzą dział „poloników”. Również i pisma naukowo-popularne jak „Slovansky Prehled” oraz „Dejiny a vspolecnost” bynajmniej nie stronią od tematyki polskiej, przeciwnie pociągają szereg polskich autorów do współpracy, a ostatnio stosunkowo szeroko uwzględniają problematykę milenialną.

Miara zainteresowań Polska i jej przeszłością stanowią także odczyty polskich naukowców w Czechosłowacji. Ostatnio np. prof. J. Szezepański wygłosił szereg prelekcji na temat przemian społecznych w Polsce Ludowej. Zarówno w Pradze jak i Bratysławie, Brnie czy Opawie sala była przepelniona słuchaczami i to bynajmniej nie tylko ze środowiska wyższych uczelni.

Sporo publikacji książkowych opracowano w związku z obchodami naszego Millennium właśnie w celu zaznajomienia czeskiego i słowackiego czytelnika z polską historią i wypuklenia tych momentów, które badły zbliżyć do siebie, bądź przejściowo oddalały sąsiadujące narody. Publikacja historycznych prac stykowych stała się możliwa dzięki istnieniu w Czechosłowacji aż kilku ośrodków naukowo-badawczych zajmujących się historią Polski.

Niestety, u nas tylko Instytut Zachodni w Poznaniu oraz Instytut Śląski, w skromnych proporcjach badawczych uwzględnia-

ją przeszłość i współczesność Czechosłowacji, a badania na Uniwersytecie Wrocławskim są raczej dowodem „prywatnych” zainteresowań prof. Maleczyńskiej i grona jej uczniów okresem wojen husyckich i powiązań śląsko-czeskich tego okresu. Żaden z naszych uniwersytetów nie posiada katedry historii południowych i zachodnich Słowian, a w Zakładzie Historii ZSRR i Krajów Europy Środkowej i Wschodniej Instytutu Historii PAN dominuje tematyka z historii ZSRR i krajów bałkańskich; na Czechosłowację już nie pozostało miejsca.

Na marginesie z przykrością muszę stwierdzić, że wszelkie instancje Ministerstwa Finansów, a także i finansisci z Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego chętnie wykorzystują każdą możliwość likwidacji katedr uniwersyteckich, natomiast wynajdują tysiące „ale” jeśli muszą rozpatrzyć wniosek o uruchomieniu nowego w danej uczelni kierunku badawczego, zwłaszcza w zakresie nauk humanistycznych. W tych warunkach wzrost kadry naukowo-badawczej dla nowych specjalności w zakresie humanistyki staje się nader problematyczny.

W przeciwieństwie, zarówno Czeska Akademia Nauk jak i Słowacka Akademia Nauk, a także uniwersytety w Brnie i Bratysławie mają okazałą grupę pracowników poświęcających się badaniom historii Polski.

W Instytucie Historii Europejskich Krajów Socjalistycznych w Pradze prawie dzieściosobowy zespół rozpracowuje polską problematykę historyczną (prof. V. Zaczek, doc. H. Bulin, dr V. Szczastny, dr J. Valenda i inni). Podobnie sytuacja przedstawia się w Słowackim Instytucie Historycznym w Bratysławie, a nadto w Opawie działa Instytut Śląski (placówka Akademii

Nauk). W zakres jego zainteresowań wchodzi archeologia, etnografia i historia obszarów beskidzkich, północnych Moraw i naszej Żywiecczyzny.

Silny ośrodek polonoznawczy istnieje na uniwersytecie w Brnie, gdzie prof. Macurek (doktor h.c. Uniwersytetu Wrocławskiego) wraz z doc. Hejlem, doc. Kolejką, doc. Konecznym i młodszymi pracownikami naukowymi prowadzi badania nad historią Polski od czasów wczesnosłowiańskich do współczesnych.

W związku z pracami naukowców polskich dotyczącymi Millennium, pozostała prowadzone równoległe, lecz zupełnie niezależnie badania ich czeskich i słowackich kolegów. W 1957 roku przystąpiła w Czechosłowacji do opracowania monumentalnej publikacji zbiorowej pt. „Češi i Polacy w przeszłości”. Tom I ukazał się w 1965 r. i obejmuje okres do upadku Rzeczypospolitej Śląskiej (XVIII w.). Tom II znajduje się w druku i jest doprowadzony w ciągu chronologicznym do powstania Polskiej Rzeczypospolitej Ludowej. Również w druku znajduje się monografia prof. V. Zaczka poświęcona rewolucyjnym związkom i kontaktom polsko-słowackim w pierwszej połowie XIX w., która wydaje Słowacka Akademia Nauk.

Jeśli weźmiemy pod uwagę, że czytelnik czeski czy słowacki może sięgnąć do pracy dra J. Valendy „Czechosłowacja i Polska, 1918—1920”, do zbiorowej „Historii Krajów Demokracji Ludowych” i do informacyjno-encyklopedycznej książki „Polska”, która wyszła w dużym stosunkowo nakładzie w serii „Przez kraje świata”, to zdajemy odpowiedź, dlaczego Czesi i Słowacy daleko więcej wiedzą o Polsce dawnej i obecnej, niż Polacy o Czechosłowacji.

Serce na dłoni

Dalszy ciąg ze str. 1

Dzień tego sukcesu był zarazem dniem klęski inż. Płużka. Zobowiązał się on na piśmie przed dyrekcją zakładów Cegielskiego, że koszty produkcji aparatu nie przekroczą 100 tys. zł. W rzeczywistości aparat kosztował trzy razy drożej i Polska Akademia Nauk, która finansowała prace, nie chciała pokryć rachunku. Obciążony kosztami konstruktorów? Państwowa Komisja Arbitrażowa uznała, że nadwyżkę pokryją zakłady Cegielskiego. Inż. Płużek poczuł się osobiście odpowiedzialny za uszczuplenie funduszu zakładowego kombinatu i jego radość z sukcesu nie była już przez to tak wielka, jak być powinna. Wydawało mu się, że wszyscy pracownicy patrzyli na niego wilkiem.

Potem nadszedł sukces prawdziwy MPS-1. Aparat zainstalowano w Łodzi. Ogromna konstrukcja szklanych rur, cewników plastikowych, lśniących metalicznie pomp ssawo-łoczających. Tych pomp było 16, sterowanych osobno. Konstruktorom wydawało się bowiem, że dla krążenia pozaustrojowego trzeba wytworzyć sztucznie tętno krwi: naśladowali naturę. Całe urządzenie wymagało do uruchomienia wielu litrów heparynizowanej krwi, która mieszała się z krwią pacjenta. Jego serce zatrzymywano przez obniżenie temperatury ciała (hypothermia) do 11 stopni C.

Profesor z nutką sentymentu wspomina ten pierwszy aparat naśladowający naturę. Były z nim przygody. Przede wszystkim ogromnie trudno przychodziło wysterylizowanie go do zabiegu: to nie bałaganeczka wyjąłoby długie na dwa i pół metra szklane rury. Noszone je do piekarni. Ten pryzm był w ogromnym piecu. Kiedyś pracownika szpitala, który powracał z piekarni z rurami zatrzymała milicja. Było to w okresie, gdy MO pilnowała placów budowy, ponieważ zatrudnieni dozorczy spali. Owinęte w tkaninę rury obudziły podejrzenie w stróżach porządku. Goniec zaczął tłumaczyć.

— Chodźmy do szpitala, sprawdzimy — orzekli milicjanci.

Profesor Moll uśmiecha się przypominając sobie tamten moment. Etap tego pierwszego sztucznego płuco-serca został już dawno zamknięty. Aparat, który właśnie asystenci przygotowują do operacji jest dziś już niemal innym urządzeniem niż tamten, pierwszy, MPD-3. Moll, Płużek, Działkowiak. I inne są dziś kłopoty. Nie z naturą, która musiała się poddać wysiłkowi techników i lekarzy. Największe kłopoty sprawia dziś nieco biurokratyczne podejście do sprawy kardiologii niektórych tzw. kompetentnych czynników w Łodzi. Profesor przerywa. Przed operacją nie można się przecież denerwować.

Chory już śpi pod czujną kontrolą aparatów pomiarowych. Syk aparatu do anestezji miesza się z odgłosami krztaniny. W świetle bezieleńowej lampy ciało chłonce, teraz już nieczułe, wydaje się drobniejszą niż w rzeczywistości. Palce anestesjologa nieustannie ugniatają worek oddechowy, który tłoczy tlen do płuc pacjenta.

W ogromnej sali operacyjnej robi się nagle cisno. Cisno od instrumentów, aparatów elektrycznych, urządzeń. Od spleatanych kabli. Diatermia. Sztuczne płuco i serce. Elektrofibrilator. Termometry elektryczne. Aparaty do mierzenia ciśnienia. Metal, dużo metalu.

Ciało pacjenta okaleczone w dwóch miejscach. Przygotowane do założenia szaczków z plastiku, którymi jego krew popłynie do MPD-3 wypełnionego glukozą.

I teraz dopiero ciecie. Klatka piersiowa uchyla się lekko. Haki z metalu, które rozszerzają wejście. Wreszcie, tak, widać żywe ludzkie serce leniwie bijące w tym nieczułym ciele. Serce, które trzeba otworzyć. Zatrzymać i otworzyć.

Ile to trwało sekund? Młara zmysłów zawodzi i trzeba spojrzeć na zegarek. Jak to? Ta chwila trwała całe minuty. W oczach mieszają się peany i koehery. Syczy aparat do anestezji. Iskrzy nóż elektryczny zasklepiający naczynia przecięte skalpelem. Zapach potu. Znow nóż elektryczny uruchamiany naciśnięciem pedału: charakterystycznie warokce diatermia.

Twarz profesora skupiona. Prawie się nie odrywa. Nie ma na to czasu. Podwiązuje nia. Ciecica. Błyski nklowanych narzędzi.

skupione. To za mało: napięte. Z okna sali operacyjnej widać ulicę i gromadę biegnących dzieci; coś wykrzykują, ale przez szybę nie nie słychać.

— Uwaga.

I zaraz... Dwa... Trzy.

Już. Glukoza zabarwiła się czerwienią. Ciepła krew popłynęła szaczkami, życie poprzez szkło, plastik i metal. I to serce prawdziwe w nienaturalnym trzepocie. Osuszone z krwi. Otwarte.

Nakładanie szwu na zastawkę. W świetle lampy bezieleńowej klują oczy błyski zakrzywionej chirurgicznej igły.

— Ciśnienie.

Oczy lekarzy wpatrują się w chybotliwą paleczkę ręki w manometrze. Serce wciąż osuszone z krwi, które teraz profesor zszyciu. Temperatura bez zmian. Ciśnienie?

— Proszę odczytywać ciśnienie.

W kontekście sytuacyjnym, każde, najobojętniej wypowiedziane słowo, nabiera

nym. Po chwili wielkiego napięcia wszystko wygląda inaczej: widzę, że siostrze-instrumentariusze wystają spod czepek kosmyk włosów.

To już tylko zszycie. Łączenie mięśni z mięśniami, tkanki z tkanką. Teraz do sali dolatuje szmer szpitalnej krztaniny, skrzypia drzwi, słychać czyjś kaszel, chyba z korytarza.

Chirurdzy zaczynają rozmawiać o innych pacjentach.

— Tamtej młodej doskonale zrobiła gamma-globulina.

— Najważniejsze, że już chce jeść — zauważa profesor i zaraz: — Siostrzo, czy naprawde nie ma jakiejś ostrej igły.

Potem w hallu piję kompot, czekając na profesora, który rozmawia z zaopatrzeniowcem na temat zakupów nowego sprzętu.

— Związka igły, wszystkie mamy stepione — mówi profesor z ożywieniem do słuchawki. — Ech — wzdycha wreszcie i pyta wzrokiem pielęgniarkę o pacjenta, przy którym został jeszcze anestesjolog.

Pacjent już wybudzony. Zaraz go przewożą na łóżko, pod namiot tlenowy.

Na górze, w gabinecie, twarz profesora traci tamto napięcie. Jest zmęczony, ale próbuje się uśmiechać.

— Zaraz zrobimy kawy — mówi przebiegając się — proszę, niech pan spocznie. Ach, to ty — odwraca się w stronę drzwi, w których stanął dyrektor Rybiński.

Do stołu zasiadamy w trójkę.

— Słyszysz pan? — pyta dr Rybiński — Nasze piekarni. Mamy tu piekarnie ukryta w ogrodzie. Pracownia doświadczalna. To właśnie piekarni przyczyniły się do ulepszenia sztucznego serca, mają układ krążenia najbardziej zbliżony do ludzkiego.

Dr Rybiński zwraca się ze swoich dyrektorskich kłopotów. Budżet? O tym lepiej nie mówić.

— Dlaczego? — powiadam. — Reportaż może zakłócać gdzie potrzeba.

Walkujemy więc sprawy budżetu nie uwzględniającego zupełnie kosztowności zabiegów na otwartym sercu. Efekt? Od października do stycznia klinika nie miała żadnych funduszy na regulowanie należności za opał i elektryczność. W rb. historia zapewne się powtórzy, tylko nieco wcześniej. Długi za rok ubiegły zapłacone zostały z bieżącego, tegorocznego rachunku.

Poza tym sprawa wyposażenia. Klinika nie posiada przenośnego elektrokardiografu ani etatu dla specjalisty w tej dziedzinie. To prawda, że na zwykłych oddziałach chirurgicznych elektrokardiogramy potrzebne są rzadko i można wykonać je gdzie indziej. Ale w chirurgii serca? Na przydział seriografu klinika czeka już 5 lat. Nie ma też funduszy na stały dyżur rentgenologiczny.

Profesor z uznaniem mówi o swoich współpracownikach. Wszyscy ci ludzie to hobbysci na czele z dyrektorem, który nie tylko toleruje, ale wręcz umożliwia zabiegi chirurgiczne na otwartym sercu, choć potem musi się „gimnastykować”. Po każdej takiej operacji chorzy na długie tygodnie „obkładają” łóżka. A klinika musi pełnić ostre dyżury na rzecz miasta. Praktycznie 68 łóżek musi obsłużyć potrzeby leżących 130 tys. ludzi dziennie. Z chwila, kiedy udało się usprawnić sztuczne serce, wypełniane od tego momentu glukozą, co zwiększyło częstotliwość zabiegów, klinice dodano jeszcze jeden ostry dyżur, ma ich teraz osiem w miesiącu. Praktycznie więc efekt usprawnienia aparatu został przekreślony. Operacje na otwartym sercu wykonuje się jak dawniej, jedna w tygodniu. Więcej nie można ze względu na złamanie, wzrostki, resekcje zwożone co trzeci dzień.

Teraz pyta dziennikarz. — Wiec jak to? Czy przy 3 klinikach chirurgicznych cywilnych i 3 klinikach chirurgicznych Akademii Wojskowej w mieście nie można jednej z nich nastawić wyłącznie na torako-chirurgię?

Współtwórca polskiego sztucznego serca powinien mieć możliwość dalszych prac badawczych w dziedzinie, której oddał się bez reszty. Łódź może pokazać całą Polskę, że produkuje w wielu dziedzinach nauki. Związka w tak przyszłościowej dziedzinie jak kardiochirurgia. Może bowiem nadejść czas, że potrafimy operacyjnie zapobiegać zawałom serca. Temu, co dziś zagraża każdemu z nas. Także piszącemu te słowa.

KONRAD FREJDLICH



— Ciśnienie. Padają cyfry.

— Światło.

W szczylinie operacyjnego pola wciąż jeszcze do serce tętniące rozważnie, powoli, czekające na otwarcie.

Nagle robi się cisza, w której nie słychać nic, nawet aparatu do anestezji. Chirurdzy rozumieją się bez słów, rozumieją się też ich ręce. Dr Działkowiak podaje profesorowi przewody do kardiofibrilatora zakończone dwoma zaciskami. Urządzenie to przypomina z kształtu radioodbiornik „Atut”, ale tylko z kształtu. Prądy, które w nim powstają, wprawiają serce w migotanie, a następnie zatrzymują jego akcję. W tym momencie uruchomić trzeba sztuczne płuco i serce.

W ciszy, która nastąpiła słowa profesora brzmią szczególnie wyraźnie.

— No, kto da sygnał? Profesor jakby pyta. Wszystkie twarze

zupelnie innej, niemal metafizycznej wymowy.

— Igły proszę.

Ta igła, to też życie. Wszystko koncentruje się wokół życia.

— Ciśnienie! Światło! Wacik, siostrzo!

Teraz profesor ujmuje serce w dłoń. Aparaty już odłączone, w ciele pacjenta zostają tylko przewody kroplówek. Ucisk dłoni na serce.

— Ciśnienie.

Trwa masaż.

I to jest właśnie ta chwila, kiedy paleczka ręki przestaje się wahać. Drżycie wspaniale wspierając się o kresceczkę na skali. Serce żyje na powrót. Organizm jest już tylko sobą. Nie szkłem, metalem, plastikiem. Życiem.

Teraz, kiedy to serce ruszyło, ruchliwe ręce chirurgów jakby na moment ustały. Odpoczynek trwał może trzy sekundy, cztery i znowu palce w płasie, ale jakby in-

POTEM odłożyli BRONI

Dalszy ciąg ze str. 1

wracałem wtenczas z Zachodu i na pogrzeb akurat trafiłem, na którym ani księdza nie było, ani kumów ze wsi, ani nawet krewnych, bo „Bystrego” się bał. Tylko dwóch towarzyszy ojca przyszło, żeby dół wykopać, i wtedy ja im powiedziałem, co i jak będę robił, a miałem dwadzieścia trzy lata...

Józefiak wtenczas, najlepszy ojca towarzyszy, powiedział żeby do ORMO szedł, bo samego i bez broni, to mnie wykończą od razu; wiec zacząłem podchodzić „Bystrego” z ormowcami i nawet dowództwo nad grupą mnie dali, i czas taki przyszedł, że się „Bystry” dowiedział, kto ja jestem, i zaczął się bać...

Zaraz na drugi dzień jak mi wyrok przysłał, ja mu czterech ludzi wykończyłem w

lesie, a piątego żywcem puściłem, żeby mi powiedział, że go znajduje...

I żeśmy się w końcu trafili, w Mianociach, i on znowu się bał, choć miał ludzi więcej i zaczął uciekać. Wtedy trzech mu zatłukłem w pościgu.

Potem żeśmy się spotkali, jak na strażnicę kolejową w powiecie miechowskim naskoczył. Zabili wtenczas jednego kolejarza; „Bystry” uciec zdażył w las, ale dwóch mu ludzi złapałem i odprowadziłem do aresztu.

Potem w Frusowicach go spotkałem, i tam niewiele brakło, żeby mnie skończył, bo byłem sam, a on z obstawą... Za rumowiskami mnie dopadł. Ale kryłem się jak trzeba. Tylko strzelać dobrze nie mogłem, bo był kurz... Wtenczas nawet z „Byстрыm” rozmawiałem. On chciał, żeby go niechali...

— Przedź — powiedział — do mnie, do NSZ; będziem się razem za wolną Polskę bili.

Mnie się śmiać zachciało. Murat, Ogień, Wołyniak, Upaszka, Lech, Szatan, Byk i Zapor, i wielu jeszcze innych, z NSZ, WIN i UPA — wszyscy niby za niepodległość walczyli, krwawy trop za sobą ciągnąc, trupy i pogorzelska zostawiając... — Powiedziałem „Bystromu”, że póki on żyje i tacy jak on — ja, „Szwajcowany”, będę strzelał. I zagrałem z pepeszy, żeby gębe mu zamknął na zawsze.

Ranili mnie wreszcie...

Koledzy z MO i ormowcy w ostatniej chwili przyszedli; kiedy już nabojuw nie było i w oczach ciemno z upływu krwi. Ale trzech od „Bystry” znowu padło, choć on sam zdażył czmychnąć...

I znowu szukałem go po polach i lasach, dniami i nocami, żeby za ojca śmierć zapłacić i za matkę, ale nie pisane było by-

ło, bo go w końcu inny zabił podczas w-cieczki, koło samej granicy.

Wtenczas żem pepesze wziął na plecy i wędrowałem jak inni na Łódź. A potem pięćdziesiąt czwartki przyszedł i nie było już potrzeba z bronią chodzić, więc rzucaliśmy ją na ziemię...

2.

Najpierw koledzy mówili na mnie „Prawy”. Potem któryś zażartował: „Prawus”, i tak zostało.

Do ORMO wstąpiłem w 1946, zaraz na samym początku. Mieszkałem wtedy z rodzicami w Nowym Sączu, ale rodzilem się w Łodzi, gdzie w czterdziestym dziewiątym wróciłem.

W Krakowskiem było tuż po wojnie najgorzej i strzały w białe dni nikogo nie dziwiły. Z bandami walczyło całe społeczeństwo i wszystkie organizacje. Walka Młodych, MO, UB, no i, oczywiście, ormowcy.

Jeśli zdarzała się natychmiastowa akcja — w oddziałach trudno było się rozeznac, kto cywil, a kto ormowiec, czy milicjant. Mundurów jeszcze wówczas brakło i broni...

Trupów tylko nie brakło.

Hość poległych w walce z bandami rosła z tygodnia na tydzień. Podziemie w środkach nie przebratowało: od noża, przez granat, aż do zdrady...

Sytuacja była ciężka — szczególnie dla ormowców, którzy ginęli, najczęściej, na posterunkach rozbijanych systematycznie przez bandytyw. Na stanowiskach komendantów powiatowych ORMO wciąż następowały zmiany powodowane najprostszą i najstraszniejszą zarazem przyczyną — śmiercią!

Ja w tym czasie byłem zastępcą komendanta Białego i widziałem jak niektórzy

ginę. Pawlakowi założyli „krawat” niemal na moich oczach, osiemnastoletniego Pawłusze wciągnęli średniowiecznym sposobem na pał, do ostatniej chwili konał w mokach. Borynka rzęzali wyszczerbionym nożem w lesie koło Limanowej, bo nie chciał się wyrzec współpracy z ORMO. Janusz S., też łodzianin — nie miał wtedy więcej niż dwadzieścia lat — został powieszony, ale jeszcze na samym końcu zdażył splunąć watażce z NSZ w twarz. Karlik, przywiązany do słupa, patrzeć musiał, jak unowcy gwałca mu matkę i kółkami karabinów wykończają ojca, a wszystko za to, że tydzień temu wstąpił do ORMO. I jeszcze wielu, wielu innych, których znam, z którymi bimber za zwycięstwo nad Niemcami piłem, zginęło podobnie. I dlatego rosła moja wściekłość i pogarda dla szczeruby z lasu, strzelających z węgla, mordujących kobiety i dzieci, uciekających przed otwartą walką...

Ja, Józef R. pseudo „Prawus”, zastępca komendanta ORMO, likwidowałem NSZ, WIN i UPA na Ziemi Krakowskiej. W 1946 roku, latem, dostałem postrzał w okolicę serca w czasie pościgu za banda „Ognia” i do dziś chowam marnarke, w której dziura jest po kuli... Widziałem także, konie bandyty „Ogniem” zwanego. Postrzelony na starym, opuszczonym strychu i eskortowany do Nowego Targu, zmarł w drodze...

3.

O „Blysku” do dziś legendy krąży po łódzkiej ziemi. „Blysk” w czasie wojny był w Armii Ludowej i już wtedy fantazje miał kulami i gwizdać do wstru uragilwie... Śmiał się podczas nalotów, z granatami szedł

I. M. MAJSKI

SPOTKANIA Z SIKORSKIM

Bardziej złożonymi i trudniejszymi okazały się pertraktacje z przedstawicielstwem polskim. Problem ten powstał jeszcze w Paryżu, w październiku 1939 roku, tuż po klęsce Polski. Na czele rządu stał generał Sikorski — dobry wojskowy lecz słaby polityk, uczciwy patriota staropolskiej szkoły i zdecydowany zwolennik orientacji francuskiej. Światopogląd Sikorskiego, o ile mogłem wnioskować z tego co sam zaobserwowałem i co usłyszałem od innych, mieścił się gdzieś pomiędzy umiarkowanym liberalizmem, a umiarkowanym konserwatyzmem w sensie burżuazyjnym. Nieszczęściem Sikorskiego było to, że dookoła niego kręciło się zbyt wiele, szczególnie reakcyjnych figur, które zasłaniały się jego nazwiskiem, a których ze słabości charakteru, nie potrafili ustawić na właściwe miejsca. Oto dla czego „rząd Sikorskiego” istniejący w Paryżu i Londynie w latach 1939—1944, zorientował się na sobie tak wiele smutnych wspomnień. Ten emigracyjny rząd, uznany przez Anglię i Francję, stopniowo porósł różnymi pomocniczymi organami typu politycznego, wojskowego i kulturalnego. Jego rezydencją było początkowo francuskie miasto Anger, a po upadku Francji — Londyn.

Brytyjskie kółka rządowe ustosunkowały się do Sikorskiego bardzo życzliwie i nie raz słyszałem z ust angielskich ministrów i polityków życzenie, by mianowicie on, Sikorski, stanął na czele tej nowej Polski, która odrodzi się z ruin po zakończeniu wojny.

Dla rozpoczęcia pertraktacji z rządem czesostowackim nie potrzebowaliśmy żadnych pośredników, gdyż już wcześniej dobrze znałem jego przywódców. Inaczej było z Polakami.

Osobie nigdy nie spotykałem się ani z Sikorskim ani z innymi członkami jego rządu. Do tego stosunki pomiędzy Polską a ZSRR w latach powojennych, w przeciwieństwie do radziecko-czeskich były mało przyjacielskie, czasami wprost wrogie. Nie miałem własnego zdania co do tego jak rząd Sikorskiego przyjmie radziecką propozycję układu o wzajemnej pomocy wojskowej. Dlatego było celowe (zdanie Moskwy było również takie) dokonać uprzedniego sondowania za pomocą dostatecznie autorytatywnego pośrednika. Wychodząc z takich rozważań, złożyłem wizytę Edenowi i poprosiłem go o wyjaśnienie interesującej nas kwestii. Eden gorąco powitał zamiar rządu radzieckiego i z ochotą zgodził się być pośrednikiem pomiędzy mną a Sikorskim.

Na drugi dzień zadzwonił do mnie stały zastępca ministra spraw zagranicznych, A. Cadogan i poinformował, że Eden rozmawiał z Sikorskim, i że Sikorski jest gotów przystąpić do proponowanych przez nas pertraktacji. Teraz szło tylko o to, jak je zorganizować.

— Generał Sikorski — kontynuował Cadogan — byłby rad, gdyby pan udał się do niego w celu omówienia wszystkich proceduralnych szczegółów pertraktacji.

Uśmiechnąłem się w odpowiedzi.

— Na pierwsze spotkanie wolałbym bardziej neutralny teren.

Cadogan zrozumiał i zaśmiał się powiedział:

— Jeżeli mój gabinet w Foreign Office uważa pan za wystarczająco neutralny teren, jestem gotów odstąpić go dla pana i generała Sikorskiego. Nawet wyjdę, by was nie krepować.

— No cóż, pański gabinet — odpowiedziałem — wydaje się być odpowiednim miejscem dla naszego pierwszego spotkania z generałem Sikorskim.

Cadogan wyraził zadowolenie i obiecał porozumieć się na ten temat z polskim premierem. Po pół godzinie Cadogan znów zatelefonował i zawiadomił, że Sikorski nie sprzeciwia się spotkaniu w Foreign Office i proponuje zorganizować je w dniu następnym o godzinie czwartej po południu. Cadogan zapytał czy ten czas mi odpowiada. Odrzekłem, że tak i poprosiłem Cadogana by powiadomił o tym Sikorskiego. Uważałem, że teraz wszystkie przedwstępne rokowania zostały zakończone i od razu zabrałem się do opracowywania formuły tych pertraktacji, które jutro muszę przedstawić Polakom. Jednakże myliłem się. Po pół godzinie po raz trzeci zadzwonił Cadogan i powiedział:

— Generał Sikorski prosił bym uprzedził pana, że zjawi się on jutro na spotkanie nie o godzinie czwartej po południu, a trzy po czwartej.

Zaśmiałem się w myślach. Widocznie te sakramentalne trzy minuty musza symbolizować różnicę w naszych rangach. Sikorski — premier, a ja — tylko poseł. Głośno zaś powiedziałem:

— Jeżeli generał Sikorski uważa za cnotę niedokładność w przybyciu na umówione spotkanie, nie oponuję. Usłyszałem jak Cadogan po drugiej stronie przewodu rozemniał się, a następnie dodał: — Proszę wybaczyć, że wypadło mi przekazać nieco dziwną wiadomość, lecz taki to już los posła... Ważne jest, by jak najszybciej rozpocząć pertraktacje.

Na drugi dzień, dokładnie o czwartej po południu, byłem w gabinecie Cadogana. Było ciepło, słonecznie, toteż zjawiłem się w Foreign Office w lekkim letnim ubraniu jasnoszarego koloru. Przywitał się z Cadoganem powiedziałem z uśmiechem: — A więc trzy minuty. — I zacząłem uważnie patrzeć na wskazówki swego zegarka.

Dokładnie po trzech minutach drzwi gabinetu Cadogana otworzyły się i na progu pojawił się Sikorski w galowym stroju, ze wszystkimi orderami i odznaczeniami na generalskim mundurze. Zza pleców Sikorskiego wysuwała się figura polskiego ministra spraw zagranicznych, Zaleskiego. Jego dosyć otyłe ciało prawie wylewało się z czarnego, wizytowego ubrania. Wysoki biały kołnierzyk podierał jego pulchne policzki. Sikorski spojrzął na mnie i po jego twarzy przemknął lekki grymas zdziwienia, prawie oburzenia: generał był wyraźnie zaszokowany lekkomyślnością mojego letniego, codziennego stroju. Lecz nie było rady. — Trzeba było przyjąć rzeczywistość taką, jaka jest.

Zjawienie się Sikorskiego w gabinecie Cadogana poprzedziła (o tym opowiadał mi świadczyli) jeszcze bardziej dziwna scena. Generał przyjechał do Foreign Office dwoma ogromnymi samochodami: w pierwszym siedział on i Zaleski, w drugim — jego adiutanci w mundurach. Adiutanci szybko wbiegli do gmachu Foreign Office, a następnie pomknęli wzdłuż korytarzy, rozpychając napotykanymi i głośno wykrzykując: — Generał idzie! Generał idzie! Za adiutantami majestatycznie kroczył Sikorski w towarzystwie Zaleskiego.

Cadogan przedstawił nas i odszedł. W trójkę zasiadliśmy za stół i rozpoczęliśmy rozmowę. W imieniu rządu radzieckiego zaproponowałem Sikorskiemu i Zaleskiemu zawarcie układu o wzajemnej pomocy wojskowej w walce przeciwko hitlerowskiemu Niemcom, dodając przy tym, że ZSRR w przyszłości zobowiązuje się do pomocy przy odbudowie państwa polskiego w jego narodowościowych granicach.

Sikorski i Zaleski przyjęli moje słowa bez większego entuzjazmu, a Zaleski od razu zapytał, jak należy rozumieć sformułowanie „państwo polskie w jego narodowościowych granicach”. Objąśniliśmy, że zgodnie z naszymi założeniami państwo polskie

w mundurze oficera, a trzech ich w progę stało z koltami u ramion.

— Nijak — powiedział ktoś od stołu i zaśmiał się głośno, ale zaraz śmiać się przestał, bo oficer strzelił mu nad głowę.

— Wstać i łapy w górę, ale już!

Wstali, „Blysk” tylko siedział po staremu, bo go widać nie było.

— Pan młody ormowiec? — zapytał oficer.

— Ormowiec.

— A panna młoda w Walce Młodych?

— W Walce Młodych.

— No, to ona dzieci nie urodzi! A ty, komunistyczna świni, nocy poślubnej mieć nie będziesz! — powiedział oficer do Zenona.

Wówczas właśnie „Blysk” przemówił, garb spod pachy wyciągnął. Oficer upadł skoszony i odpluł ostatni raz, krwią czarną. Tamtych dwóch zdążyło się cofnąć, ale granaty w kieszeniach mieli i nastąpiła eksplozja. Cała przybudówka w niebo poszła z ogniem.

Z dworu bandyci grać zaczęli, a „Blysk” odszczekiwał się z okna. I trwało to godzinę, może dwie... A potem, kiedy banda strzał ostatni odmierzyła Panu Bogu w szybę, „Blysk” wyczołgał się z mieszkania i przepadł.

Dopiero o świcie wrócił gwizdząc przeraźliwie, żeby śpiących obudzić. A kiedy wstawał z ociąganiem, złościł się zaczął:

— Na wesele, psia krew, prosza, a gorzałki na stole nie widzę.

Wiec przynieśli mu gorzałki, i:

— Gdzieś ty się Blysku, szwendął po nocy? — zapytywał jeden przez drugiego.

Opowiedział im wtedy, jak za bandytami

w przyszłości winno składać się tylko z Polaków i obejmować te tereny, które zamieszkuje Polacy.

Na twarzach moich partnerów zjawił się posępny grymas. Potem Zaleski zabrał głos i wygłosił długi wykład na temat tego, że w Polsce w przededniu napaści hitlerowskiej mieszkali tylko Polacy i dlatego w przyszłości państwo polskie winno pokrywać się z państwem polskim z roku 1939. Dla potwierdzenia swej tezy Zaleski zaczął szaro i nudnie cytować cyfry ze spisu ludności dokonanej w dowojennej Polsce przy czym wychodziło u niego jakos tak, że ani Ukraińców ani Białorusinów w tej Polsce prawie nie było, i że jedyną mniejszością narodowościową (jeżeli nie w ogóle można uważać za mniejszość narodowościową) Rzeczypospolitej Polskiej było tylko pół miliona Żydów.

Minister spraw zagranicznych chciał kontynuować swoje wywody na ten temat lecz nie wytrzymałem i przerwałem mu powiedziałem: — Panie ministrze spraw zagranicznych! W młodości sam byłem statystykiem i dobrze znam się na tych wszystkich statystycznych chwytach, z których często korzystał carat dla dowodu tego, czego nie można było dowieść... Dlatego nie mówmy więcej o statystyce. Rząd radziecki ma własne, dostatecznie uzasadnione dane o składzie narodowościowym ludności powojennej Polski, a ja w jego imieniu chcę jeszcze raz powtórzyć, że jest on gotów pomagać w utworzeniu państwa polskiego w jego granicach narodowościowych — specjalnie podkreśliłem ostatnie dwa słowa — jest to podstawowa zasada. Jeżeli nie chcecie przyjąć takiej zasady, wtedy... Wtedy, myślę, nie ma sensu zaczynać pertraktacji.

Prawdopodobnie moja aluzja zrobiła swoje, gdyż teraz do rozmowy wniósł się Sikorski i już bardziej ugodowym tonem zaczął mówić o konieczności uważnego przemyślenia wszystkich kwestii związanych z podpisaniem układu o wzajemnej pomocy.

Nie ma potrzeby szczegółowo przedstawiać dalszego biegu pertraktacji, które zajęły dużo czasu i wymagały wielkiej straty nerwów. Powiem tylko, że były to bardzo ciężkie pertraktacje i że kilkakrotnie znajdowały się na granicy zerwania. Jednak wytrwałość i cierpliwość wykazana przez rząd radziecki, w końcu przelały wszystkie przeszkody i 30 lipca 1941 roku układ został podpisany przeze mnie i przez Sikorskiego.

Najbardziej skomplikowanym zagadnieniem okazała się kwestia dotycząca granic przyszłego państwa polskiego. Chociaż Sikorski, wydawało się, reprezentował inną odmianę polskiej soldateski niż osławieni „pulkownicy”, którzy doprowadzili przed wojną Polskę do zguby, to w nim i w jego otoczeniu był dostatecznie mocny duch agresyjno-imperialistyczny. Brakowało mu realizmu politycznego. Toteż „romantyka” starych szlacheckich tradycji mocno trzymała go w swych rękach. Po długich dyskusjach i ostrej polemice w końcu postanowiono w układzie w ogóle nie dotykać kwestii przyszłych granic państwa polskiego i ograniczyć się tylko do oświadczenia rządu radzieckiego, że umowy radziecko-niemieckie z 1939 roku odnośnie zmian terytorialnych w Polsce — straciły moc. Takie sformułowanie zostało wniesione w art. 1 podpisanej umowy.

Ponadto w umowie zostało stwierdzone, że pomiędzy ZSRR i Polską ustanawia się stosunki dyplomatyczne, że obie strony w czasie wojny będą okazywać sobie nawzajem różnego rodzaju pomoc i oparcie i że rząd radziecki wyraża zgodę na utworzenie na swym terytorium armii polskiej. Oprócz tego w oddzielnym protokole przewidywało się, że rząd radziecki „udzieli amnestii wszystkim obywatelom polskim więzionym obecnie na terytorium radzieckim w charakterze albo jeńców wojennych albo zatrzymanych na innych podstawach”.

Podpisanie umowy zostało dokonane w wielce uroczystych warunkach, o co zatroszczyli się Anglicy. Eden od początku przywiązywał wielkie znaczenie do pojednania pomiędzy ZSRR i Polską, dokładnie śledził bieg pertraktacji, w momentach krytycznych, za kulisami przychodził z pomocą, i teraz, gdy to dyplomatyczne przedsięwzię-

cie zostało uwieńczono sukcesem chciał stworzyć koło tego jak najwięcej przychylnego dla sojuszników rozgłosu. Tłumaczyło się to z jednej strony ważnością umocnienia wewnętrznej jednności wśród sojuszników, a z drugiej strony — chęcią szerszej reklamacji Sikorskiego, z którym, jak wspominałem, rząd brytyjski wiązał daleko idące plany. Sama ceremonia podpisania układu odbyła się w Foreign Office, w gabinecie Edena. Oprócz Edena był obecny Churchill. Było dużo dziennikarzy, fotografów, kinooperatorów. Zawsza oświetlały „jupitery”. Sikorski i ja wygłosiliśmy okolicznościowe przemówienia. Potem ścisłali nam ręce przywódcy rządu brytyjskiego. Potem mi dziękowali im za okazaną współpracę. A potem na drugi dzień prasa angielska zrobiła z podpisania radziecko-polskiej umowy sensację dnia.

Nie oponowałem przeciwko akcji Anglików; latem 1941 roku radziecko-polska umowa miała wielkie dodatnie znaczenie, i ten fakt trzeba było doprowadzić do świadomości najszerszych kręgów tak wśród sprzymierzeńców jak i wśród wrogów.

Tłumaczył: Eugeniusz Iwanicki z tomu wspomnień I. M. Majskiego — pt. „Wspomnienia radzieckiego dyplomaty, wojna 1939-43”, wyd. „Nauka”, Moskwa 1965 r.



Vera Fridrich. Dachy.

pod czołgi i do polach minowych skakał jak zając, żeby przed kumpłami się popisać. Nie wróżyli mu żołnierze stu lat, ale przecież wyszedł z wojny cało.

Mało tego! Jako jeden z pierwszych w szeregi ORMO wstąpił i szarował w dalszym ciągu...

W 1947, pod Zgierzem, w małym domku mruwanym żenił się przyjaciel „Blyska” — Zenon Wrónczak. Zenon był ormowcem, więc wśród gości też byli ormowcy, ale bez broni, w odświętanych garniturach. I „Blysk” odświeżnie się przebrał na wesele kolegi, marynarkę długą do samych prawde kolan włożył, krawat jakiś zielony pod szyją i spodnie — choć za krótkie, ale czarne. Na lewej pierś garb wszystko szpeczył. Ci, co dobrze „Blyska” znali, wiedzieli, co to takiego na lewej pierś pod kapota skrywa... Podśmiewali się z chłopaka...

— Oj, Blysku, Blysku, na weselu nawet byś wariował...

I „Blysk” się śmiał, żeby białe szczerząc, garb na lewej pierś czule obmacując. Ale za piecem usiadł koło drzwi — tak, że go z wejścia widać nie było, i pił trochę mniej niż zwykle.

I na jego wyszło...

Po północy, kiedy gościom głowy nieco zwisły i oczy się szkliły od wypitki, w drzwi ktoś zastukał niepewnie.

— Kł diabeł? — pytali zaskoczeni weselnicy. I: — Otworzyć, nie otworzyć?

Wówczas „Blysk”, co za piecem siedział:

— Jasne, że otworzyć!

Wiec otworzyli i zrazu tylko... noc wpadła do środka z powiewem chłodu, a potem człowiek, co drzwi otworzył, cofał się tyłem, krok za krokiem, w głąb mieszkania.

— No jak? — powiedział ten pierwszy —

poszedł, jak ich z krzaków i rowów przepełzał.

— Dwóch zdybałem w stodole Tomaszewskiej. — Jeden, ranny, na komendzie jest teraz, drugiemu, niestety, trzeba wykopać dół — ubolewał „Blysk”. Szklankę gorzałki jeszcze wypił i poszedł spać.

Taki właśnie jest ormowiec „Blyskiem” zwany. W wojnę po minowych polach skakał, później — z bandytami na dachach podciągał walczą, tropił ich w lasach wilgotnych, w norach brudnych nakrywał, i choć ranili go trzykrotnie: w brzuch, w pierś i w brzuch, wyszedł przecież z tego cało.

Za to w 1954, kiedy wojna i walki wewnętrzne we wspomnianych ludzi zbladły, kiedy pokój w miastach rzeczą był normalna, on, „Blysk”, na posterunku brał oddał i opaskę ormowską, i powiedział, że ma już dość.

— Ale przecież spotkasz ich dzisiaj na patrolu z opaskami na rękach, choć bez broni...

W ciągu 20 lat istnienia — Ochotnicza Rezerwa Milicji Obywatelskiej przeszła wielką ewolucję i wraz z nią „Szwesowany” się zmienił, „Prawus” i „Blysk”.

Oj, na przykład „Szwesowany”: w zakładzie pracy służbę pełni, na złodziej ma oko, nietrzeźwych od maszyn odciąża, żeby wypadku nie było, zwaśnionych godzi i do bójk nie dopuszcza. Czasem, kiedy krzyczeli ludzie: „Szpicel”, widząc zbliżającego się ormowca, należą w jego zakładzie do przeloczenia.

A taki znowu „Prawus” czyli Józef R. — W międzyczasie maturę zrobił, studia

skończył i w szkole dzisiaj wyklada historię. Jego działalność ormowska z lw. grupa pedagogiczna ORMO jest związana. Grupa takich 164 na terenie Łodzi powstała — skupiają przede wszystkim inteligencję — nauczycieli, pracowników umysłowych, studentów... Bron ich, to perswazja, napomnienie, kontrola szkolnych dokumentów, rozmowa z rodzicami. Członkowie grup pedagogicznych ORMO prowadzi także pogadanki i odczyty w środowiskach młodzieżowych i profilaktyczny charakter ich działania przynosi niezłe rezultaty.

Jeśli chodzi o „Blyska”, który w 1954 wraz z bronią opaskę oddał, do przekonania dochodzą, że już brak dla niego pracy (nosów dzieciakom nie będzie ucierał, ani pijaków niańczył — mawiał wtedy rozżalony. — Ja jestem żołnierz i po wojnie, jako ormowiec, też byłem żołnierz, i cenny też jako żołnierz, choć bez broni...) — otóż jeśli chodzi o „Blyska”, to i on w końcu wrócił do Rezerwy, tyle, że nie przy zakładzie pracy, w którym na portierni siedzi, i nie do grup pedagogicznych, nad młodzież trudną pracujących, a do niebezpiecznej służby w patrolu rajdującym.

I bliższy „Blysk”, jak za starych, ciężkich dni. Sześciu wianowaczy sklepowych ma na koncie — w ręce MO ich przekazał, dwie bimbrownie na przedmieściach zdemaskował, złodziejasków kieszonkowych wytrwał goni, i w swojej dzielnicowej porządku pilnuje, zna ją tam wszyscy...

— „Blysk” idzie — mówi młodzież czupurna na widok szczerpłej sylwetki w obzernym paltocie. I ta młodzież, co tu dużo gadać, szanuje „Blyska” i cenę. I historii od niego się uczy lat ostatnich.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

TURNIEJ JEDNEGO WIERSZA

W końcu stycznia, podobnie jak w latach ubiegłych, odbył się w Klubie Studenta „Turniej jednego wiersza”. Poniżej drukujemy utwory, odznaczone pierwszą, drugą i trzecią nagrodą.

KAZIMIERZ ŚWIEGOCKI

I nagroda

Zapiski szpitalne

Znowu śnieg opadł rankiem na wystygłe łóżka, ktoś chciał oknem wyfrunąć i został kwiat po nim na szybie malowany białą ręką mrozu. O siostrzyczko nadobna, wypędź szcztoką duchy!

Więc będziemy tak czekać, aż nam nieznajomi mrozone światło zórz wleją w upał krtani i przyniosą na tacy chłodnego anioła.

Znów drzwi trzasnęły i idą naszej krwi czciciele chyłkiem i w kapturach, zniemacka, z pochodnią, wiatr ich cofa przecierony, straszą skrzydłem ptaki, a oni idąc słyszą, że nie do nas idą.

Więc zanim się rozpocznie, bo stać się coś musi — z rozstajnego kościola zawoła naw wilga, a my bosy w głąb zimy w jej lodowe leże, bijąc głową jak młotem w złote blachy świtu pójdziemy upolować słońce na wieczere. O siostrzo, jakieś duchy za oknem lomocą!

I będziemy tak leżeć w śniegu i eterze, na polach wilki głodne kluczą aniołów leci. Chwila jeszcze — rękę pęknie, spadnie z serca gwiazda, a Bóg w białym fartuchu zniknie w drzwi lomocie.

4. XI. 1965 r.



Rys. M. Kapuścińska

ROBERT GLUTH

II nagroda

Nike

(fragment)

wędrowała
bo ja wiem — z Tobolska?
taki Tobolsk — ho ho
daleko!
przed piosenką — Polska
niepolska
fizylerzy SS-Waffen
beton
i na przelaj — warszawska szosa
wędrowała czarnowłosa z Odessy
odeska pieskaniebieska
czeczotka
przeziębła się chrypiała z
tankistami
na moczarach
w błocie po pás
usypiała w gorące biwaków
ciemnogłowa — cieniem na plecaku
pod zieloną palatką malarii

wędrowała kowelsko-tulska
z Alma-Ata
z końca świata — gdzieś
horyzonty porzuciła
wielobarwia i jesienie
nawet
i brzozę wygiętą
smutną jak pieśniarz Jesienin
karelską o złotych słojach
w utylnych walonkach
sapogach

w „harmonijkę”
tłukła wiorsty
dyszająca
ropiejąca na frontach
opuchnięte kilometry gwardyjskie
tłukła wiorsty
zaciskając
usta

wysmagana
krwawym biczem lun
do zawrotu głowy — duszna
pożądaniem przyzwyczajonym
krzykiem
głodna i
obłędnocka
— Nike

ANDRZEJ BISKUPSKI

III nagroda

Przed wschodem słowa

I.

więc szedłem teraz już przed wschodem słowa
kalectwo włokłem abyś nie dziedziczył
tych wszystkich ludzkich podpalonych ciał
ty —
który nie jesteś tylko ocalony

II.

samotny człowiek to jest jak ty idziesz
i będą cię widzieli
i wskażą na ciebie —
tak w tłumie nie rozpoznasz twój mordercy
to co zowią wyrokiem nie czując tych więzów
jest tym że go widzą
ale w oczach tłumy —
tak dobrze widzą że on właśnie idzie
a idzie
pochylony w-sobie
on świadomy winy nie przystanie nawet —
on pismo dźwiga
czy aby człowiek samotny — s — pamięta

III.

ty nie znasz jego mowy nie znasz tamtych słów
ani nie wiesz wcale że pismo tak bywa
— bywa że zaplonie
i było też nie — wiedza bezsłowne mówienie
najpierwotniejsze
jeszcze wtedy, było
i to jest pamięć gdy pismo niszczy
i to jest pamięć gdy po-dźwigniesz dzieje
ale nie słowo
jeno magię jego —
język konieczny gdy pamięć przerasta
czyli jak pamięć nie mieści się w sobie

IV.

ten człowiek tam pozostał
i pamięta o nas
po tamtej stronie przed wiekami —
jest potem przestrzeń taka sama teraz
gdy wtedy była — była z niespełnienia
ten człowiek tak pozostał
tak milczał że w oddali przezuwał gwar ludzki —
i to było wymowne i skazaniem było
na — powrót — i — dalej
było —
że nie potrafił gdy odszedł by z drugim pomilczed
by pośród arugiego
by koniecznie wrócił —
by go widzieli i po tamtej stronie
i pośród siebie w niespełnieniu ouyim
to że nie wrócił trwało długo potem

V.

oni uchodzili z miast płonących w nocy
uciekali na oślep —
na oślep ginęli i deptali innych
— wierząc
że ocalony tylko zdola opowiedzieć
tak oto z wiary w słowo urasta milczenie
i noc jeszcze długa w której jeden idę
— idę i przystaję
ale wciąż przed wschodem —
tam, człowiek oczekuje do którego idę

WŁADYSŁAW HUZIK

III nagroda

* * *

Kwiaty zła mają na imię himmamukasijomogi,
Baudelaire nawet w delirium nie wysnił takich...
Urodzeni przypadkiem
w czterdziestym piątym roku,
bardzo spokojnie
oglądamy stare fotografie.

Nasienie ojców naszych nie zgniło w zbiorowej mogile
i łona matek naszych nie splonęły wraz z nami
w Oświęcimiu

— tylko przypadkiem.
Tylko przypadkiem nie wydarto nas z brzuchów
rozprutych w błoto,
by je wypełnić szczerze
ukradzioną ziemią.

Urodzeni w czterdziestym piątym, gdy na świecie
panował już pokój,
nosimy w sobie piętno, tragiczne, szczęśliwego
przypadku.
Ale zupełnie spokojnie oglądamy trupy na
fotografiach,

miasta w chwili konania
i gdy je tuli
himmamakusijomogi.

Himmamakusijomogi to specyficzne porosty, pokrywające
po wybuchu bomby atomowej Hiroszimy, nigdzie poza
tym nieznanie.

EUGENIUSZ

ŻYTOMIRSKI

Oczy jak BURSZTYNY

(Fragment powieści, która
ukaze się nakładem Wyd.
Łódzkiego).

Rozgrzył pigułkę. Pomogło, choć nie od razu. — Może to i lepiej, że człowiek się męczy: przynajmniej nie żał mu życia — uśmiechnął się gorzko, ale nie był wobec samego siebie szczerzy. Chciał żyć. Chciał żyć, bo zakochał się w Irmie. — Pewnie jest już na dworcu i kupuje w tej chwili bilety — myślał z rozczuleniem, włokąc się przez ciemny już i nieprzytulny las. — Jeszcze dziś przeprowadzę z nią decydującą rozmowę. Jeśli chce, abym nadal był jej przyjacielem, powinna zgodzić się na to, żeby zostać moją żoną. I powinna pomóc mi w załatwieniu sprawy z Ireną. W miłości trzeba się niekiedy zdecydować na ponoszenie współodpowiedzialności za popełniane przez jednego lub drugiego partnera czynny. W miłości? Ale czy z jej strony w ogóle wchodzi w grę miłość? Chyba nie. (— Powiedz: „Na pewno nie”. No, odważ się? — odezwało się jego alter ego). I o jakież tu czyni chodzi? O porzucenie starej żony i zamianę jej na młodszą. No tak, ale przecież próbował ułożyć życie z Ireną na różne sposoby — i zawsze daremnie. Czy ożeni się z Irmą, czy nie — Irena i tak będzie nieszczęśliwa; nie wroci jej przecież młodości. Dlaczego zatem ma zrezygnować z własnego szczęścia? — Nie ma takiego czynu, jakiego nie umiałoby się usprawiedliwić — stwierdziło bezlitośnie drugie ja). Wprawdzie niewiele wie o tej dziewczynie, a to, co wie, nie jest budujące: woli nie zastanawiać się nad tym, jaki tryb życia prowadzi, ale przecież czasy, kiedy dzielono kobiety na porządne i nieporządne, dawno już minęły. Dziś każda dziewczyna jest porządna i nieporządna zarazem. A zastanawiać się nad tym, czy mądre postąpi zeniąc się z Irmą? Nigdy nie wiadomo, czy lepiej, czy gorzej się zrobiło, robiąc coś w życiu... A poza tym, choć trzyma się dobrze i wszyscy mówią mu, że wygląda młodo, jest po pięćdziesiątce (to, oczywiście, jeszcze nie starość) i ma chorobę wieńcową... Każdy krok, każdy miesiąc szczęścia liczy się w takiej sytuacji... Tak, nie ma już nad czym rozmyślać. Zaraz na dworcu zażąda od dziewczyny odpowiedzi... Nie, trzeba jakoś inaczej, delikatniej... Ale jak? Powiedziała mu kiedyś, że o miłości nie warto rozmawiać. „Sprawy erotyczne zależą nie od nas, mówmy o wszystkim innym”. Mądra, inteligentna dziewczyna... Ale jak się z nią porozumieć? Kobieta jest — jak mężczyzna — człowiekiem, ale prócz tego jeszcze kobietą, a więc czymś w rodzaju kwiatu. Jak można porozumieć się z kwiatem? Wystarczy, że pachnie — i jest. Ale on chce, musi mieć ten kwiat na własność. Na własność? Co mu to przypomina? Kogóż to oskarżył o chęć posiadania innego człowieka na własność? Wie już, wie, kogo. Ale to trudno. Kocha tę dziewczynę i ona będzie jego żoną. Nie zacznie jej błagać, ale jeśli się będzie wahała — postara się ją przekonać. I to jeszcze tu. Nad morzem.

Był już na dworcu. Na peronie panował półmrok. Rozjeżdżał się za Irmą — i dostrzegł ją pod klonem. Stała otoczona grupą jakichś młodych ludzi.

Ani na chwilę nie można jej zostawić samej — pomyślał. — Znowu się dała komuś poderwać? Czy one wszystkie są takie? Chyba wszystkie... A może jednak nie? — Przypomniał sobie Krystynę — i poczuł się bardzo zmęczony. Powłócząc nogami zbliżył się do Irmy.

— Czy masz bilety? — zapytał.

— Mam — odpowiedziała. I w tym momencie jeden z młodych chłopców zwrócił się do Andrzeja:

— Chcieliśmy właśnie zapoznać się z pańską córeczką.

— Z córeczką? — powtórzył — i zdziwił się brzmieniu własnego głosu: był nienaturalnie wysoki i piskliwy.

— A może to jest moja wnuczka?

— A rzeczywiście — rzekł chłopak. — Przepraszam, nie przyjrzałem się dobrze. Tak tu ciemno... Teraz widzę, że istotnie mógłby pan być nawet naszym dziadkiem. Tej ładnej dziewczyny — i moim...

— Pan sobie za dużo pozwala, młody człowieku! — krzyknął, a raczej pisał Andrzeja. — Cóż z tego, że jest pan młody? Nawet w tym wieku można by mieć więcej rozumu i poczucia przyzwoitości...

Wokół nich gromadzić się zaczęli ludzie. Na szczęście nadjechał pociąg — i Irma niemal siłą wepchnęła go do wagonu. Usłyszał jeszcze, jak chłopcy, którzy widocznie kogoś odprowadzali czy spótykali, bo pozostali na peronie, wesoło się śmiali i jak jeden z nich — pewnie ten sam, który z nim rozmawiał — powiedział:

— I pomyśleć, że taki stary kretyń ma taką ładną córeczkę...

Ciężko dyszał, musiał znowu wziąć trinitrinę. Irma przez cały czas jazdy do Jastarni milczała. Ale gdy szli do „Mewy”, powiedziała:

— Przecież oni naprawdę myśleli, że jesteś moim ojcem...

Mimo dwu phandormów nie mógł zasnąć. Leżał z otwartymi oczami i patrzył na odcinającą się od bieli poduszki — w błym majaczeniu zaokiennej, ulicznej latarni — czarną główkę Irmy i kontury jej ciała pod nasuniętą aż pod brodę kołdrą. Patrzył na nią i słuchał jej miarowego oddechu, i myślał:

— To nic, to nic. To już się stało. Straszne jest nie to, co się stało, ale to, co może się stać. A to się już stało. Ktoś mnie, zdaje się, ostrzegal. Ktoś albo coś. Ale kto, co? — Na pamiętał. — Przypomnę to sobie później — zrezygnował.

— I o co właściwie chodzi? O to, że jestem stary? Pamiętałem o tym przez cały czas. O to, że nie należy do dziewczyn, których mężczyzna — bez względu na wiek — mógłby być pewien? O tym też wiedziałem. Wiedziałem również doskonale, że mnie nie kocha i żyje ze mną za pieniądze. Ale również dobrze wszystko to może być nieprawdą i w rzeczywistości było i jest zupełnie inaczej. Nie wiemy — powtarzał sobie po raz setny — nie wiemy i wiedzieć nie możemy o drugim człowieku. Widzimy jego czynny, ale pobudki tych czynów umiemy tylko odgadywać. Mniej lub więcej trafnie. A wiec nie się w gruncie rzeczy nie stało, coś się jednak skończyło. I nie wiadomo, co mianowicie. Ale to nic. Bo to wszystko: miłość i młodość, starość i choroby, szczęście i cierpienie, tragedie małżeńskie i podwójne życie, odeszcia i powroty, kłamstwa i zawody — to są jednak barwy życia.

Gdy „Neptun” zatrzymał się w Kuźnicy, Irma, rozjeżdżawszy się uważnie dokola i stwierdziwszy, że na korytarzu nikogo nie ma, swoimi zwyczajem: szybko i jak gdyby wstydliwie pocalowała go w usta, powiedziała swoje sakramentalne — „No to cześć!” i wysiadła. Stojąc w drzwiach zobaczył dwu chłopców, którzy podbiegli do niej z wesołymi okrzykami. Jeden wziął jej walizkę, drugi torbę. Pociąg ruszył, a Irma odwróciła się i przelala mu ręką znak pożegnania. Na przegubie dłoni coś błysnęło w słońcu — i Andrzeja domyślił się, że są to bursztyny: ten sam sznur, który kupił jej w dniu przyjazdu i który lubiła nosić jak bransoletkę. Irma i chłopcy zniknęli już z jego pola widzenia, „Neptun” nabierał szybkości, a on nagle uprzytomnił sobie, co przez cały czas przypominały mu oczy dziewczyny:

— Ależ oczywiście, to ten właśnie kolor: ma oczy jak bursztyny!

— Trzeba będzie to sprawdzić — pomyślał po chwili. Ale zaraz zdął sobie sprawę z tego, że raczej nie będzie już miał do tego okazji.

MARIAN PIECHAL

O ZLEKCEWAŻONYM OGNIISKU KULTURY I ŚRODOWISKU NOWEGO ODBIORCY

W n-rze 5 (138) „Kultury”, w rozmowie redakcyjnej zatytułowanej „O snobizmie, nowym odbiorcy i ogniskach kultury”, poruszono niezmiernie ważny problem pozawarszawskich środowisk twórczych. O pilnej potrzebie wskrzeszenia ich tam, gdzie były a, zanikły, i stworzenia ich tam, gdzie ich dotąd nie ma. Myśl to nader ważna i domagająca się dalszej, szerszej i bardziej pogłębionej dyskusji w celu jak najrychlejszej jej realizacji.

Myśl ta, powtarzam, ważna, aczkolwiek nienowa. Wypowiedział ją w swoim referacie na którymś z zebrań zjazdowych ZLP na krótko przed swą śmiercią Leon Kruczkowski, wskazując na „białych plamach kulturalnych” na terenie naszego kraju. Oczywiście, nie umniejsza to w niczym zasługi podjęcia znowu tej aktualnej ciągle myśli przez naszych rozmówców — przeciwnie należy im się praktyczne uznanie w postaci dalszej kontynuacji ich tak na ci czasie i trafnie rozpoczętej dyskusji.

Mnie jako pisarza od wielu dziesiątków lat działającego na terenie Łodzi zainteresowały szczególnie dwie wypowiedzi w tej rozmowie, a mianowicie Artura Sandauera i Juliana Przybosa, z których każdej, o czym dobrze wiem, zna doskonale moje miasto rodzinne nie tylko ze słyszenia, ale z bezpośredniej, że tak powiem autopsji i nie przypadkowych osobistych kontaktów. Wiele tym bardziej zaskoczyło mnie u nich to, że wyliczając czynne dziś ogniska kultury w terenie, nie wymienili ani razu Łodzi. Czyżby tak mało wiedzieli o tym, co się w niej w sensie kulturalnym dzieło w przeszłości i dzieje dziś? Ależ, trudno ich posadzić, tak sumiennych koneserów każdej sprawy, która podejmuje swoim piórem, o brak rozpoznania w tej mierze, a z drugiej strony, tak zawsze bezstronnych i obiektywnie sprawiedliwych w swych wypowiedziach, o świadomie lekceważąca ignorancję.

Artur Sandauer napisał: „Polska kultura miała przed wojną charakter policentryczny. Istniały różne ośrodki nie tylko w Warszawie i Krakowie, ale w Wilnie, w Lublinie, w Zamościu, w Drohobyczu”. No, proszę: Zamość i Drohobycz wymienił jako ogniska kultury, a o Łodzi zapomniał. Łódź spadła z jego ocenie poniżej Zamościa, a nawet Drohobycza! Dlaczego? Dlaczego Zamość i Drohobycz, a nie Łódź? Czyżby tylko dlatego, że z Zamościem związany był Leśmian, a z Drohobyczem Schulz? Ależ z Łodzią związany był Tuwim i Wandurski, i Jastrun, i Światopełk Karpiński, i Jerzy Zawieyski — i czy tylko oni?

Zdziwiło mnie niepomniernie, że Sandauerowi nie przypominał tego Przybós. I po jego słowie „Drohobycz” nie podpowiedział mu słówka „Łódź”. I nie dorzucił do tej skąpej listy nazwisk, wymienionych wyżej przez mnie, jeszcze estymowane przez nas obu nazwisko przede wszystkim Władysława Strzemińskiego, a potem Karola Hillera, a potem Katarzyny Kobro, Rozumieli, że przez wrodzoną sobie skromność Przybós nie chciał dotrzeć do tej listy nazwiska swojego, ale przecież i on, podobnie jak i Jan Brzeczowski współpracował tutaj ze Strzemińskim w stworzonej przez nich razem awangardowej grupie „a. r.” (artystów rewolucyjnych), która w tak pięknie nowatorskiej szacie wydała ich książki: „Ponad” i „W głąb las” (Przybósia), „W drugiej osobie” i „Pożądania integralna” (Brzeczowski), „Kompozycja przestzeń” (Kobro i Strzemińskiego) i „O sztuce nowoczesnej” (Leona Chwistka, Strzemińskiego, Hillera i Brzeczowskiego), że tylko te niezwykle ważne, bo przełomowe, w awangardowym ruchu poetyckim i plastycznym pozycje wymienię.

Kiedyż to było? Gdzieś w latach 1932—1935. A przedtem był Witold Wandurski ze swoją nowatorską i rewolucyjną „Sceną Robotniczą”, użerając się, jakby powiedział Gałczyński, z „zandarmami republiki” i starego porządku także i w sztuce. A potem był „Meteor”, pierwsza w dziejach miasta robotniczego grupa poetów, usiłujących pogodzić

hasła poezji uspołecznionej z artystycznymi postulatami głoszonymi na łamach Peiperowskiej „Zwrotnicy”. A potem było czasopismo „Prądy”, którymi tak bardzo przecie zainteresował się Przybós w osobnym, do nich skierowanym liście, a w których drukowali między innymi Czechowicz i Czuchowski (także Nałkowska, Irzykowski, Tuwim i Wittlin). A potem była „Kronika”, legalne czasopismo komunistyczne o treści społeczno-kulturalnej, redagowane przez Zenona Kliszke. A potem była „Budowa” w której drukowali Strzemiński, Stażewski, lodzianin Henryk Wiciński, Hiller i Stefan Wegner, nie licząc literatów. A potem były „Wymiary”, w których drukowali stale mieszkający w Łodzi: Mieczysław Braun, Mieczysław Jastrun, Światopełk Karpiński, a spoza Łodzi Jerzy Zawieyski, Lucjan Szenwald, Józef

plastyków poza Strzemińskim, Stażewskim i Hillerem jeszcze St. I. Witkiewicza, Leona Chwistka, Tytusa Czyżewskiego, Zbigniewa Proszkę, Konrada Winklera, Kamila Witkowskiego, Eugeniusza Zaka, Mieczysława Szezuke, Augusta Zamoyckiego, Terese Zarnower, Henryka Wicińskiego, Stefana Wegnera i Katarzynę Kobro.

A kto te rzeczy oglądał? Czy tylko sami artyści, wysublimowani snobi i uczniowie szkół artystycznych? I tu dotykamy problemu odbiorcy, o którym pisze Janusz Bogucki, tego „odbiorcy świeżego”, o którym z kolei pisze Przybós, że „jest to człowiek prosty, co w przeciwieństwie do prostaków — chłonie sztukę bez przesadów wmlonych w szkole i bez snobizmu”. I dodajmy od siebie: „taki odbiorca spośród szerokich rzesz, który to, co przeczyta albo obejrzy, sprawdza bezpośrednio w życiu”. Otóż taki właśnie odbiorca spośród łódzkiego świata pracy był najbardziej liczny i najbardziej czestym oglądaczem tych nowatorskich dzieł plastyczno-malarskich w Muzeum Sztuki Nowoczesnej. Wyszli właśnie świeżo, barwnie i bogato ilustrowany „Rocznik Muzeum Sztuki w Łodzi 1930—1962”, gdzie w rozdziale pt. „Frekwencja” przedstawiona jest szeregowo w liczbowych tabelach ta sprawa.

Trzeba dodać, że ten nowy „świeży odbiorca” sztuki i literatury, o którym mówi Przybós, pojawił się ze wszystkich miast w kraju najwcześniej w Łodzi, a to dzięki temu, że w dwudziestolecie międzywojennym samorządy socjalistyczne w Łodzi najwcześniej zrealizowały program powszechnego nauczania i zlikwidowały analfabetyzm do

stworzonych zostało wiele nowych i wybitnych dzieł. Przykładem konkretnym może być sam Artur Sandauer, który w Łodzi właśnie narodził się jako autor swej najlepszej jak dotąd książki beletrystycznej „Śmierć Iberala”, a także jako późniejszy znakomity krytyk bez ulgowej taryfy, wtedy chyba właśnie w ostrych kontrowersjach z łódzka „Kuznica” rozpoczął swój start. Trudno także przemilczeć Adolfa Rudnickiego, który sam przyznaje, że Łódź ówczesna, to miejsce najintensywniejszej jego twórczości. A Jastrun? A Żółkiewski?

Można na to odpowiedzieć, że krag „Kuznicy” gdziekolwiek by się znalazł, odegrałby podobną rolę. Powiedzmy, że zgoda. Ale na przykład Leon Schiller nigdzie chyba nie znalazłby podobnych warunków, jak w Łodzi — myślę tutaj właśnie o tym szerokim zapleczu dla jego teatru w postaci owego Przybosiowego „świeżego odbiorcy”, prostego człowieka pracy. Także powstanie i dalszy sukcesywny rozwój teatru Kazimierza Dejmka nie byłby i nie jest (jak okazuje się teraz) możliwy nigdzie indziej, jak tylko w Łodzi — w otoczeniu owego świeżego odbiorcy, jakim są szerokie rzesze ludzi prostych, młodzieży i robotników oraz inteligencji zawodowej i technicznej.

Obaj pisarze, poeta i krytyk, bardzo gesto akcentują tzw. „wiosny poetycki” urządzane w różnych miastach Polski, wskazując na nie jako na intensywnie wyleganie nowych talentów, no i wobec tego nobilitując owe skądinąd sympatyczne miasta i miasteczka do rangi nowych „ognisk kultury”. W ten sposób do Zamościa i Drohobycza doszły jeszcze Zielona Góra,

z Łodzi „Kuznicy” powstawało tutaj mimo niesprzyjających warunków co kilka lat nowe pismo, a to „Łódź Literacka” (w której przecież drukował też Artur Sandauer), a to „Kronika”, a to „Odgłosy”, a to ostatnio ambitny gruby roczny almanach „Osnowa”, w których i w której drukują swoje prace nie tylko pisarze łódzcy, ale i stołeczni i pozastoleczni, a nawet zagraniczni — świadczy chyba dowodnie, że Łódź jest i to wcale niepoślednim współczesnym ogniskiem kultury w naszym kraju nie tylko jako siedlisko sporej liczby twórców, ale i sporej rzeszy „świeżych odbiorców”, których potrzeby i wrażliwość artystyczną ukształtowały i ukształciły nowe powojenne warunki socjalistyczne w naszym kraju.

Ci nowi odbiorcy to nie tylko konsumenci, to także mecenasi powstających tutaj dzieł. Przybós słusznie zauważył w owej rozmowie: „Socializm skłania do bezpośredniego zbliżenia człowieka do człowieka bez względu na wysokość jego dochodu. Zakład przemysłowy zaprasza artystów do współpracy z robotnikami, związki zawodowe chcą być mecenasami sztuki”. Otóż w związku z tymi związkami chce przypomnieć, że to Łódź pierwsza w Polsce przez usta swych delegatów z łódzkiego oddziału Związku Literatów Polskich na zjeździe w Katowicach (przed kilku laty) powiadomiła o nowej formie mecenatu socjalistycznego, jaki łódzkie zakłady włókiennicze i związki zawodowe roztoczyły nad aktualna twórczością niektórych z pisarzy łódzkich, fundując specjalne stypendia półroczne i roczne, a także w postaci subwencji indywidualnych i konkursów na określony temat, urządzanych przez miejskie i wojewódzkie Prezydium Rad Narodowych w Łodzi.

No, ale cóż! Żywym „ogniskiem kultury” i jej nowego „świeżego odbiorcy” jest według Przybosi i Sandaera nawet Kłodzko i Osieki, tylko nie Łódź, której przecież tyle jako twórcy zawdzięczają, a której, nie wiem, czy pomaga w jej kulturalnym samopoczuciu, a więc i w rozwoju, ich nazbyt już lekceważąca, bo chyba jednak świadoma, ignorancja.



„W pracowni” — art. malarz adiunkt PWSSP w Łodzi — Krystyn Zieliński. Fot. W. Parys.

Czechowicz i wielu innych. Jeśli już Artur Sandauer o tym nie wiedział, to czyżby Julian Przybós o tym wszystkim zapomniał i pozwolił w swojej przytomności wymienić przedwojenny Drohobycz jako ważne ognisko kultury, a pominał Łódź, w której tuż przed wojną Leon Schiller sztuki i wyświecany z innych miast Polski tutaj właśnie wystawiał swoje najbardziej nowatorskie artystycznie i najbardziej rewolucyjnie reżysersko sztuki teatralne, jak „Krzyżce Chiny”, „Tretiakowa”, jak „Hinkemann” Tollera, jak „Cjankali” Wolfa, jak „Ulica” Rice’a, jak „Nasze miasto” Wildera, jak „Dobry wojak Szejka” Haszka, nie licząc „Nieboskiej komedii” i wielu innych, o których głośno było w całym kraju.

A pierwsze w Polsce Muzeum Sztuki Nowoczesnej gdzie powstało? Przecież to sam Julian Przybós był naczynym świadkiem i gorącym animatorem realizacji w Łodzi tej niezwykle śmiałej na ówczesne warunki inicjatywy Władysława Strzemińskiego przy czynnym współudziale Przeclawa Smolika, Henryka Stażewskiego i Jana Brzeczowskiego. Dzięki nim mogliśmy, nie wyjeżdżając z kraju, oglądać w Łodzi cenne i rzadkie oryginały J. Arpa, A. Caldera, S. Charchoune’a, S. Delaunay’a, Theodora van Doesburga, Maxa Ernsta, A. Gleizesa, Fernanda Légera, J. Lurcata, L. Marcoussisa, A. Ozenfanta, E. Prampoliniego, G. Vantongerlo, Pabla Picassa, Michela Seuphora, V. Huszara i Paula Kleea, a z polskich

możliwego minimum w ówczesnych warunkach ustrojowych. Trzeba także przypomnieć, że w tymże międzywojennym dwudziestolecu Łódź pierwsza w kraju, dając tym wzór i zachęta innym miastom z Warszawy na czele, ufundowała nagrodę literacką, której kolejnymi laureatami zostali: Aleksander Świętochowski, Julian Tuwim, Aleksander Brückner, Zofia Nałkowska, Andrzej Strug i z plastyków właśnie Władysław Strzemiński. Czy to coś mówi o Łodzi jako „ognisku kultury” i nowym jej „świeżym odbiorcy”? Oczywiście wedle miar dzisiejszych gustów i ocen wartości woleliby może niektórzy zamiast Świętochowskiego widzieć w roli łódzkiego laureata, Irzykowskiego, a zamiast Tuwima — Leśmiana. Co do wyboru między Świętochowskim a Irzykowskim, to kwestia dyskusyjna, ale przecież Tuwim to lodzianin i wyróżnienie nagrodą jego twórczości, to właśnie piękny przykład kulturalnego sentymentu miasta dla swego wybitnego ziomka, którego bynajmniej nie zapoznawało jako to się zazwyczaj zdarzało i do dziś jeszcze zdarza.

A dziś, w warunkach Polski Ludowej, czyżby Łódź przestała nagle być tym „ogniskiem kultury”? Nawet gdy pominiemy pierwsze lata niezwykle bujnego rozwoju ruchu kulturalnego w Łodzi tuż po wyzwoleniu spod okupacji hitlerowskiej, traktując to jako zjawisko przypadkowe, to jednak nie da się zaprzeczyć, że w tym właśnie miesiącu i w tych właśnie latach narodziło się wiele nowych talentów,

Koszalin, Sopot, a nawet Kłodzko i Osieki — ale nie Łódź. Czyżby w Łodzi brakowało tych „wiosen poetyckich”? Ależ mamy i my te wiosny coroczne, urządzane z różnym skutkiem od kilku dobrych lat, a ostatnio już nawet dorobiliśmy się i „jesieni poetyckiej”. Czyżby jednak były aż tak jałowe i nieurodzajne, te „wiosny” i „jesienie” łódzkie, że ich nawet wzmiankować nie warto? Chyba nie to. Z Łodzi-ż ci to przecie wyfrunęły z podmuchów tych wiosen i jesieni albo i zgoła poza nimi, ale z Łodzi, takie znane już i dobrze rokujące, a nawet niektóre dość okrzepłe talenty, jak Bohdan Drozdowski, jak Andrzej Brycht, jak J. M. Rymkiewicz, jak Mieczysław M. Szargan, żeby ograniczyć się tylko do tych nazwisk ogólnie już znanych, nie mówiąc o tych bezpośrednio z wyższych uczelni łódzkich, bo na ten przykład Leszek Kołakowski to skąd?

Może się zrodzić pytanie, dlaczego ci ludzie nie zostali w Łodzi? To tak samo, jak pytać, dlaczego w Łodzi nie zostali przed wojną Julian Tuwim, Jerzy Zawieyski i Światopełk Karpiński, a zostali jednak Mieczysław Jastrun i Władysław Strzemiński, a po wojnie dlaczego nie zostali w Łodzi Stanisław Pietak, Anna Pogonowska i Włodzimierz Słobodnik, a zostali jednak Stanisław Czernik, Władysław Rymkiewicz, Jan Huszcza i Leon Gomolic. Pewnie, że warunki dla ludzi spod znaku dziewięciu muz są tutaj trudniejsze, niż gdzie indziej. Ale przecież fakt, że po exodusie

KSIĄŻKI NADEŚLANE

Eugeniusz Pauksza — ZNAK ŻÓŁWIA, Iskry, cena zł 20.

E. Szware — BAŚNIE DLA DOROSŁYCH, WL, cena zł 48.

Juliusz Owidziński, Ryszard Serafinowicz — GRY, ZABAWY, QUIZY, Iskry, cena zł 18.

Marian Dobrowolski — WBRĘW PRZEMOCY, LSW, cena zł 11.

Edward Martuszewski — NAWET KAMIEN, W, Łódzkie, cena zł 30.

A. Banach — PORTRET WZOROWEGO MĘCZYŹNY, WL, cena zł 40.

Izabela Czajka-Stachowicz — PŁYNĘ W ŚWIAT, Iskry, cena zł 24.

Henryk Vogler — ROMANSE LITERATURY, WL, cena zł 16.

Anna Kowalska — WIEŻA, Czytelnik, cena zł 10.

Józef Ignacy Kraszewski — W STARYM PIECU, WL, cena zł 13.

Krystyna Kuliezkowska — DROGA TWÓRCZA EWY SZELBURG ZAREMBINY, WL, cena zł 10.

Monika Warneńska — CHEŁ PIEC Z ROMANOWA, W, Lub, cena zł 13.

Olgierd Terlecki — LEKCJE MIEŁOCI, WL, cena zł 10.

Anna Świerczyńska — Z DAWNEJ POLSKI, WL, cena zł 22.

J. M. G. Le Clézio — PROTOKÓŁ, PIW, cena zł 25.

Richard Gordon — PAN DOKTOR NA MORZU, W, Morskie, cena zł 17.

CZWARTACY, tom I/II, MON, cena zł 42.

Jerzy Rutkowski — PROBLEMY ROZWOJU SPOŁECZNO-EKONOMICZNEGO POLSKI LUDOWEJ, KiW, cena zł 8.

Szanowny

Panie

Redaktorze

Do oporowskiego zameczku lodowata droga, odmuchana przez wiatry, wysłizgana kołami, wąskim pasemkiem biegnie...

- Nie - trzeba inaczej: Spiesząca droga pryska spod kół, ciska szklanymi bryzgami w ośnieżone rowy, wiję się przez ośnieżone pola...

Niedobrze! Na nowo: Z obydwu stron drogi drzewa wyciągają unerwione gałęzie do mroźnego nieba...

Niezdadne z prawdą: powinno być: Powalone drzewa leżą wzdłuż drogi i nie wyciągają już do nieba gałęzi...

Zupełnie do niczego: spróbujmy jeszcze raz:

Tak było zimno, że ledwie (z powodu dygotków) dostrzegłszy nakrapiany cegła mur zameczku na małej wyspie - a właściwie zamek sam jest małą wyspą. Za nim sine drzewa - park. Czym przedzierzaliśmy do środka w biel sieni - jak w ciepłą pierzynę. Grube, białe mury solidnie rozparte, białe sklepienie, schody czarnym wywijasem biegnące do góry.

Po schodach chodzi biała lub czarna dama; schody trzeszczą. Biała dama ginie na białych ścianach, - czarna kontrastowo od nich się odłania.

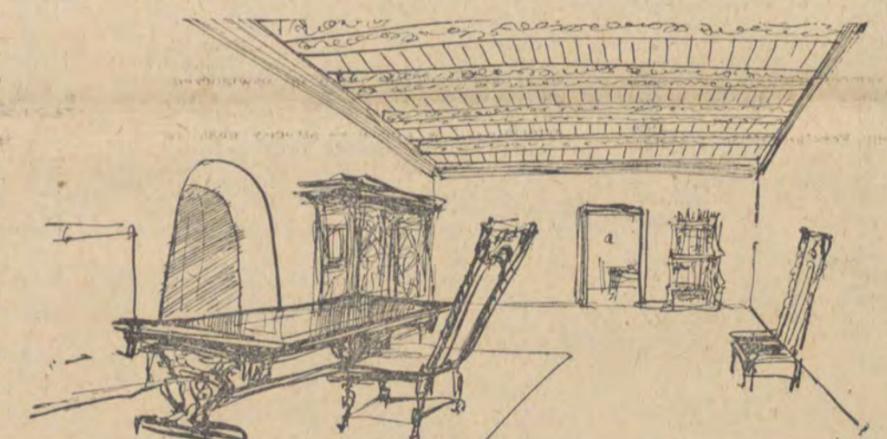
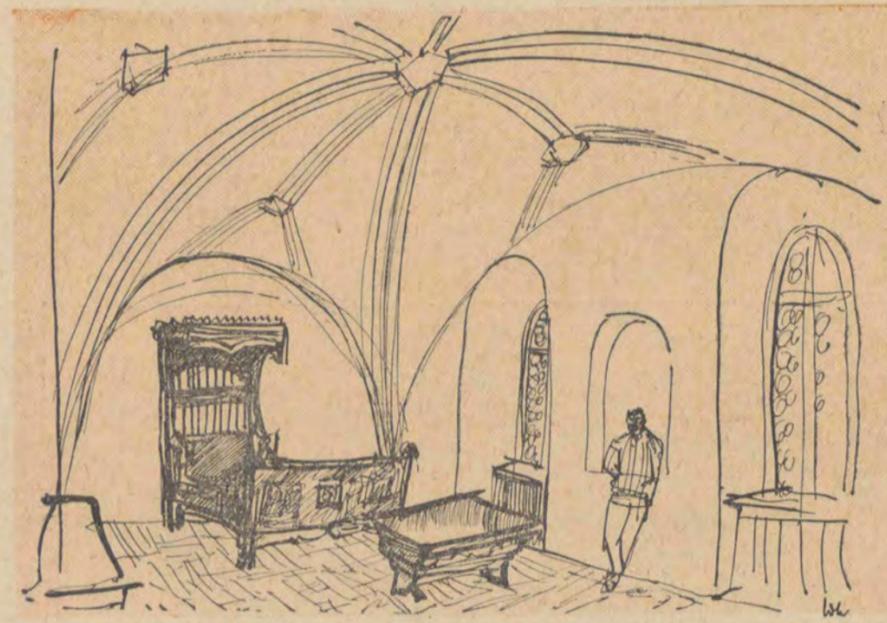
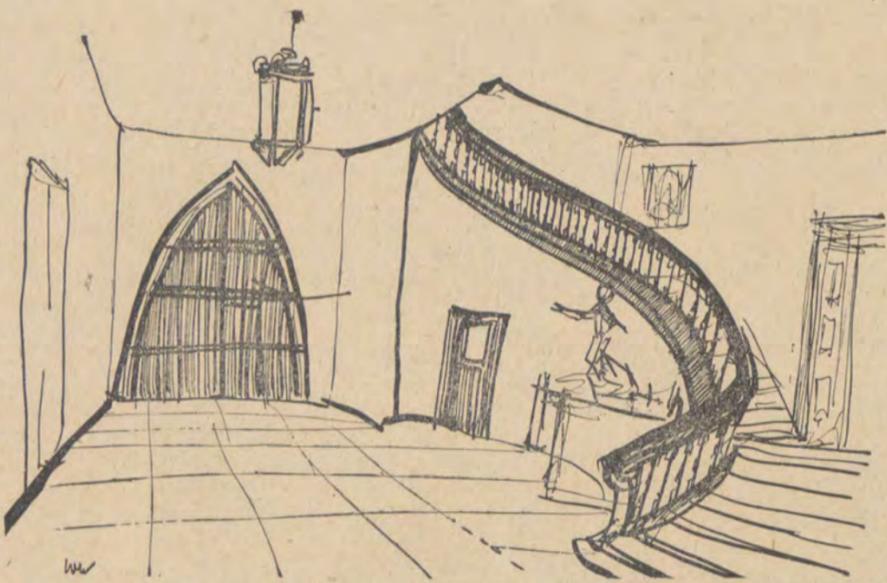
Ci, którzy ją widują, nie są zdecydowani co do koloru; - więc biała (a może czarna) dama spaceruje - spaceruje bez przerwy. Nie jej nie ploszą, bo zameczek jest wyizolowany ze współczesnego życia, zagubiony wśród białych pól.

Gdzie? - A za Kutnem, proste Państwa, osiemnaście kilometrów. - Wiele dama chodzi sobie po schodach (trzeszczą - jak się rzekło) w górę i w dół, po komnatkach, zagląda we wszystkie kąty, przystaje przy zbrojach, przy oszklonej szafie z książkami, siada na stylowych krzesłach z wysokimi oparciami - wstaje - snuje się bezcelestnie. Czeka - na kogo?

Pewnie na Pana Chopina, albo na Pana Mozarta. Nawet jest fortepiano (jakby powiedział Pan Fryderyk) - czarne i młoczące.

- Druga dama jest różowa. Chodzi także po komnatach - ale w dzień, także czeka! Może na samego Pana Bacha?

WACŁAW KONDEK



KRONIKA

Antytelewizyjna

UCIECZKA

Zacznijmy tym razem od cytatu:

„Gdyby Chrystus wrócił dziś na ziemię, musielibyśmy co prędzej ukrzyżować Go na nowo we własnej obronie, dla usprawiedliwienia i ocalenia cywilizacji, nad którą trudziliśmy się przez dwa tysiące lat, cierpiąc i umierając wśród jęków i przekleństw bezsilnej wściekłości, po to, żeby stworzyć ją i udoskonalić na obraz i podobieństwo człowieka. Gdyby wróciła Wenus, przybrałaby postać plugawego typha, sprzedającego ukradkiem pornograficzne obrazki w pisuarach kolejki podziemnej...”

Cytat pochodzi, oczywiście, z „Dzikich palm” Faulknera. Charlotte i Harry pragną ocalić swoją miłość przed tak ocenionym światem, ściślej rzecz ujmując, przed tak ocenioną cywilizacją. Boją się „mieszkańskiej dostojeści” i „mieszkańskiej cnoty”. Kochankowie są jak dzikie palmy, poddane wichurze. Przerwywają.

Proza Faulknera - długie zdania z nawiasami, skomplikowane, wielocłonowe - na suwa porównanie z owymi drewnianymi babami rosyjskimi, przywozonymi przez turystów: rozkłada się pierwsza, by znajdować w niej następne.

Ucieczka, perypetie kochanków w tym opowiadaniu, jeśli pominąć jego głębsze wartości, szata słowna tych perypetii, ich liryczny patos, nieodparcie przypominają - tak, tak - Zeromskiego.

Piszę o tym wszystkim dla tego, by uprzytomnić sobie, jak trudne i niewdzięczne za daniem miał Zbigniew Bieńkowski, sam wrażliwy poeta i do świadczony eseista, podejmując się zabiegu adaptacyjnego dla Teatru TV.

Nawet przy maksymalnej pieczołowitości, można zachować jedynie fabułę i akcję, nie nazbyt wiele ocalać z

istoty opowiadania „Dziękuję palmy”.

Nic więc dziwnego, że spotkaliśmy się z Faulknerem w pewnym stopniu znacznie uproszczonym. A więc i wykonawcy - przede wszystkim Nina Andrycz, Edmund Fetting, Mariusz Dmochowski - również nie mieli łatwego zadania.

Spektakl był ciekawy, mięscami przejmujący, w całości nie stał się jednak większym wydarzeniem teatralnym.

Ubiegły tydzień nie sprawił sprawozdawcy zbyt wiele ambaru. Jakoś nie trafiliem na audycje, domagające się umotywowanego sprzeciwu lub rozwiniętej akceptacji, co nie oznacza, iż nie spędziłem paru godzin w tygodniu i paru w niedzielę z pożytkiem i z przyjemnością.

Spośród przyjemności wymienilibym: „W 80 dni dookoła świata” (z Teatru Powszechnego), szwajcarski film „Happy end” (z przedmowa przesadnie wychwalająca), spotkanie z panią Stanisławą Perzanowską (w ramach „Szklanej niedzieli”).

Z pożytków: audycje millennialne (z filmem „Capella” włącznie), film o twórczości Józefa Gielniaka (aczkolwiek za bardzo ciągnięto za język artysty wyraźnie nieskorego do zwierzeń).

Nie zaliczyłbym ani do pożytków ani do przyjemności „Kapitana Sowe”, chociaż - rzecz zabawna - jakoś nie omijam tych odcinków: może pociąga nieporadność scenarzysty w konstruowaniu intrygi kryminalnej, to zupełnie prymitywnej, to nazbyt skomplikowanej. (I skąd tyłu przedstawiciele inteligencji za wodowej w tak wyrafinowanych przestępstwach? Nie wynika to z żadnych naszych kronik kryminalnych!)

Jon Huszczyński

PS. Mille to tysiąc, annus to rok. I wobec tego aktualnie ukazujący się „Słownik języka polskiego” proponuje pisać: millennium, millennialny. W naszych piśmiach i gazetach za każdym razem spotykamy się z inną pisownią. Ha, i w tym wypadku, tak zdawałoby się podlegającym normie, nie masz zgody w narodzie! A może naród po prostu nie lubi zaglądać do słownika, gdyż nie znosi, żeby mu cokolwiek narzucać? J.H.

STANISŁAW KASZYŃSKI

Rozmowa z Thorntonem Wilderem

dziesiątych z coraz mniejszą przyjemnością zacząłem chodzić do teatru. Jeśli już decydowałem się pójść, to po to, aby deklamować w wielkim urokiem sztuki, wielkim aktorstwem, reżyserią, czasem scenografią. A wie pan dlaczego? Po prostu przestałem wierzyć w te sceniczne historie. Ale nie, nie! Nie zdradziłem teatru. Wprost przeciwnie. Wydawało mi się, a raczej utwierdziłem się jeszcze w przekonaniu, że teatr jest najwyższą ze wszystkich sztuk. I - najdziwniejszą.

JA: Wierzę gdzieś to zmiechnienie?

T. W.: Widzi pan, Teatr, do którego uczęszczałem, był teatrem mieszczańskim. Wiergnął do niego syty i zadowolony z siebie mieszczanin. Do tego stopnia go opanował, że narzucił mu własną wizję, oddał mu wszystkie swoje kłopoty i radości. I z kolei teatr zaczął afirmować jego życie, marzenia, jego wielkość, utrwalił w nim poczucie bezpieczeństwa. Był już pewien, że czeka go wieczne życie po tamtej stronie, ponieważ po tej posiadł wszystko, jak sądził, dzięki swym enotom. Ciągłe oczekiwanie od teatru aprobaty, uspokojenia. I otrzymał je w obfitości. To już nie była poezja, to była kronika. Pierwszy Ibsen podważył ten stan sielanki, poeta i demaskator. Ale poezja nie powie niczego ludziom, którzy nie potrafią sobie niczego przypomnieć. Myślałem wtedy i dziś to powtarzam, że teatr ze wszystkich sztuk jest najbardziej powołany do tego, aby budzić w nas wspomnienia. Budzić to znaczy wierzyć w nie.

JA: Zaczął pan pisać o przestępcach?

T. W.: I z przekory. Rzeczy-

wistość, która reprodukuje ta scena pudelkowa (majątył dach ze względów atmosferycznych, ale w krajach mieszczańskich) była rzeczywistością nazywano: serio. Wszystko, co się działo na deskach, podawano z niepokojącą wyrazistością. I teatr musiał zamienić się w panopticon. I niech pan sobie wyobrazi! Kiedy zacząłem pisać swe jednoaktówki, zachciało mi się pokazać nie sprawy prawdopodobne, lecz prawdziwe.

JA: Rozumiem. W Pańskiej sztuce „Szczęśliwa podróż” cztery krzesła kuchenne przedstawiają prawdziwy samochód, którym rodzina pędzi z szybkością 120 km na 20 minut.

T. W.: To jest właśnie ta prawda, którą szukalem. Nie jestem zarozumiały, nie mój to wynalazek. Aktor w teatrze chińskim wkłada kij między nogi i pędzi na koniu. Albo w japońskim No: aktorka okryta cierpliwie scenę i już wiemy, że udaje się w długą podróż. Wierzymy, że będzie długo w drodze.

JA: Nic to nowego pod słońcem, ale najtrudniej przedstawić o takich oczywistościach. My musimy mieć namacalną rzeczywistość. A przecież Moller uważał, że teatr, jeżeli do- kładnie cytuję, składa się z kilku desek i kilku namiotności. Wystarczy, żeby wierzyć. To jest chyba to, co Niemcy nazywają „Welttheater”. Na kilku metrach działający człowiek, który wyraża i uogólnia ludzkość.

T. W.: Nie wiem, czy pan zauważył - wielu nie spostrzeżło - że w „Naszym mieście” uparcie powtarzam takie słowa, jak: „setki”, „tysiące”, „miliony”. Kiedy opisywałem radości i cierpienia Emilla, jej godziny spędzone nad algebra,

jej urodzinowe podarki - myślałem bez przerwy o milionach dziewcząt, które żyły przed nią, żyła i będą żyć. Ale tak myśląc, myślałem jednocześnie, że absolutna rzeczywistość każdego pojedynczego człowieka jest tylko jego wewnętrzna, bardzo intymna rzeczywistość.

JA: ...w którą trzeba wierzyć jako w jedyną i nieopartą na teorii. Chyba tego żąda od nas teatr. Każde nam np. wierzyć, że jesteśmy w Wenecji XVI wieku i że sir Laurence Olivier jest Ludzycem i że za chwilę uduśli Mary X. Napisał pan przed laty, że teatr to lilla wystrzelająca z dzungli wybuchających nieprawdopodobieństw.

T. W.: Tylko nieprawdopodobieństwa pokazują pełną prawdę. Wierzyć w nie, to wierzyć w ludzką namiotność. Na prawdziwy ementarz nie mógłbym sprowadzić mieszkanców mojego Grover's Corners (ten pomysł wziąłem zresztą od Dantego) tak jak nie sposób byłoby moich bohaterów z „Jeszcze raz nam się udało” utrzymać przy życiu od epoki lodowcowej aż po współczesną wojnę bombową. A jednak przyszłi na ementarz, a ci inni - bardzo długo żyli.

JA: Ołóż to! Nie liczy się pan zupełnie z prawami czasu i przestrzeni. Akcja „Długiego obiadu świątecznego” ciągnie się przez dziewięćdziesiąt lat. Chyba to samo mamy w „Naszym mieście”, ta miłośnica to cały świat bez określonej przestrzeni i bez określonego czasu.

T. W.: Właściwie to pan odczytał. Myślę, że Pańscy rodzacy, reżyser i aktorzy zrozumieli mój zamysł, moją konwencję, jak to nazywają krytycy. Chciałem odnaleźć bezcenną wartość w najdrobniej-

szych zdarzeniach naszego codziennego życia, ale odkryć zarazem spotegowany sens „vie quotidienne”, jak by powiedział Francuz. Bo przecież nasze zadania, nadzieje, nasze wątpliwości nie skrywają się w przedmiotach, nie oddychają w scenarii, lecz tkwią w naszej duszy. Zauważył pan zapewne, że z upływem akcji usuwam nawet wymyślną przesłannę, pozostawiam tylko pół metra kwadratowego desek i - nieco namiotności.

JA: Mówił pan o naszych aktorach. Zapewniał pana, aktorzy włożyli dużo serca, by przekazać nam Pańskie zmieszanie i - prawdę. Może nawet odrobinkę za dużo i dlatego, jak mi się wydaje, nieco zagubili nieprawdopodobną prawdę. Mówię naszym żargonem - nie zachowali Pańskiej poetki i wizji codzienności. Ujawnili emocje. Przyznam Panu, rozumiem ich sytuację. Może i przekład trochę zawinił, bo ciągnął ich bardzo do ziemi. Nie wymieniam nazwisk, bo i tak pan ich nie zna... No właśnie, byłbym zapomniał. A ten Pański reżyser, to... T. W.: Czekalem na to pytanie. Him, jakby to panu wyjaśnić? Jest kimś, kto nie tyle niada i porządkuje losy - one same się odwijają, albo, czy ja wiem, ktoś nimi kieruje - on je tylko wywołuje. Jest jednak poza czasem i przestrzenią, będąc jednym z nich, jednym z ludzi, jednym z nas. Ma jedynie większy dar wyobraźni i prawo do interwencji, któremu się poddają. Ale i my mamy to prawo i wyobraźnię. Czasem nawet myślałem, że to może ja sam nim jestem...

JA: Zdradzę panu, że i ja tak myślałem. Zaaranżował Pan grę dość okrutną i wyrafinowaną. Bo okrutna jest ta

zwyczajna, spowszednia, wytarta prawda, że kiedyś umrzemy i, jeśli panu wierzyć...

T. W.: No nie mnie, teatrowi...

JA: ...więc jeśli wierzyć teatrowi, to i my kiedyś będziemy wspominać poranek urodzinowy. Czy w tym nie zawiera się jakiegoś przewyższanie strachu, dzięki ustanowieniu przez Pana, przepraszam, przez teatr lustru, w którym oglądamy siebie czy tylko jedną z naszych masek? A swoją drogą odniósł pan sukces: nie ma na scenie, a wszyscy patrzy z zaciekawieniem na konia mleczarza i na kury wybierające ziarno... Pan jeden z pierwszych pokazał możliwość innej iluzji, nie tej stołu, kanapy i zawieszonych portretów...

T. W.: Nie należę do nowoczesnych dramaturgów, chociaż żałuję, że nim nie jestem. Mam nadzieję, że wywiązałem się ze swojego zadania, przygotowując im wybitną sztukę. Nie jestem nowatorem, lecz tylko odkrywca zapomnianych wartości. Nie to však najważniejsze. Najistotniejsze to pamiętać, że najgroźniejszym wrogiem ludzkości w naszych - we wszystkich czasach - jest brak wiary w siły ludzkiego ducha, które mogą stworzyć dla wszystkich bogatsze, głębsze i prawdziwsze życie.

* W rozmowie wykorzystano m. in. wypowiedzi T. Wildera, a szczególnie jego esej „A Platform and a Passion or Two” z 1937 roku.

** Państwowy Teatr Powszechny: Thornton Wilder, Nasze miasto, sztuka w trzech aktach, przekł. Julia Ryńska, reż. Tadeusz Zuchniński, scenografia Zdzisław Topolski, premiera 8. I. 1966 r.

Kto, co, kiedy?

relacje
niedyskrecje

SARAH CHURCHILL POETKA

Sarah Churchill córka zmarłego Winstona Churchilla, z zawodu aktorka, jak zawsze aktywna i pełna inicjatywy, wydaje w Londynie tom wierszy pt. „Puste dale”.

ILE KOSZTOWAŁA BI-TWA POD WATERLOO?

„Waterloo” film, który nakręca Dino Laurenti, kosztuje 5 miliardów starych franków. Historycy twierdzą, że jest to o wiele więcej, niż wyniosły koszty prawdziwej bitwy pod Waterloo.

„SZALEŃSTWA MIŁOSNE”

Jednym z celów, jakie postawiła sobie francuska telewizja, jest zapoznanie widzów z dziełami klasycznych literatury, przy pomocy nowoczesnych środków wyrazu.

Komedia „Szaleństwa miłosne” (Les folies amoureuses), której autorem jest Jean-François Regnard (1655-1709), wystawiona pierwszy raz na scenie Théâtre-Français w roku 1704, wchodzi do dzisiejszego repertuaru tegoż teatru. Ostatnio komedia Regnarda została na nowo opracowana i sfilmowana dla telewizji.

Trzęsąc sztuki o zabawnych epizodach, są perypetie zakochanych, bieżącej Agaty i przystojnego Ernesta. Zazdrośny opiekun dziewczyny, więzi ją w swym zamku, aby następnie ożenić się z nią. Agata kocha jednak Ernesta. Chcąc pokrzyżować plany matrymonialne swego opiekuna, dziewczyna udaje obłąkaną. Według ówczesnych przekonań obłąk można było wyleczyć tylko wtedy, jeśli jakaś inna osoba zgodziła się przejąć go na siebie. Ernest zgłasza się do opiekuna Agaty, oświadczając, że gotów jest zostać obłąkanym, aby dziewczynę wyzdrowiała. Opiekun nie podejrzewając podstępny, godzi się na tę swoistą kurację. Nietrudno się domyślić szczęśliwego końca obojga młodych zakoniecznia.

Autor komedii J. F. Regnard (zwany przez współczesnych mu wesolym Regnardem) pochodził z zamożnej ro-

dziny i wiele podróżywał, jego życie obfitowało w przygody nie mniej ciekawe niż akcje jego sztuk. W 1677 Regnard zostaje porwany przez korsarzy i sprzedany bogatemu Arabowi. Pełni u niego funkcję kucharza. Omal nie zostaje zabity, gdyż okazywał zbyt żywe zainteresowanie haremem swego pana. Wyplacony okup przywraca mu wolność. Przygoda ta nie odstrasza komediopisarza. Podróżuje nadal. Pozostawiał po sobie prócz sztuk teatralnych, dowcipne opisy przygód z podróży po różnych krajach.

Osiadłszy się wreszcie na stałe w Paryżu, Regnard pisał komedie i prowadził wesole życie. Jego liczne sztuki chętnie były grywane przez teatry. Wolter powiedział kiedyś o nim: „Komu nie podoba się Regnard, ten nie jest godny, by podziwiać Mollera”.

JOANNA D'ARC NA STOSIE

Telewizja francuska przygotowała ostatnio widowisko pt. „Jeanne au bucher” (Joanna na stosie) jedno z najciekawszych, jak zgodnie twierdzi niemal cała prasa pa-

ryska. Odczona legenda, czczona po dziś dzień po stać Joanny d'Arc, nie raz już była natchnieniem artystów. W okresie wojny stuletniej,



Edith Scob w roli Joanny d'Arc.

Joanna, dziesięcioletnia dziewczyna z ludu, porwała wespół z kolegami do walki z Anglikami, którzy opanowali Francję. W decydującej bitwie pod Orléanem w roku 1428 Francuzi pod wodzą Joanny odnosią zwycięstwo. Ale Joanna d'Arc schwytana potem przez wrogów, zostaje oskarżona o czary i w roku 1431 spalona na stosie.

Dzieje życia Joanny kilkakrotnie przedstawiane

były na scenie. W roku 1938 powstaje, inspirowane przez taneczkę Ide Rubinstein, oratorium do którego słowa napisał Paul Claudel, a muzykę Arthur Honegger. Ostatnio oratorium to zaadaptował dla paryskiej telewizji Roger Kahane, przy czym statyczny charakter utworu przekształcił — przez wprowadzenie baletu — na widowisko o żywej zmienności akcji.

Joanna stoi skępowana na stosie. Dominikanin podaje jej księgę. To księga jej życia. Rozpoczyna się teraz balet ilustrowany dziełem Joanny, a zwłaszcza przebieg procesu o czary. Prześladowcy zjawiają się w postaciach zwierząt symbolizujących ich wady, są więc wieprze i żmieje, są stadą baranów, które becząc biegną do osła.

Ukazuje się następnie balet kart do gry z królem i królową, przy czym w szalonym rytmie wirujące walety gnają prześladowane ofiary w stronę stosu. Niektóre ze scen stwarzają nastrojną wizję z koszmarnych snów. Z dynamiką scen baletowych kontrastuje spokojna choć bezgranicznie smutna, skąpiona, jasna twarz Joanny d'Arc.

W całości widowisko, nie tracąc uroczystego charakteru oratorium, wykracza znacznie poza ramy tej konwencji. Jest ono jednocześnie i oratorium i baletem, operą i dramatem. Jest udanym, jak podkreśla to szereg recenzentów paryskich, efektem poszukiwania przez telewizję własnych, nowych form artystycznego wyrazu.

MARTIROS SIEGIEJEWICZ SARJAN W FILMIE

Niedawno w Związku Radzieckim został nakręcony film o jednym z największych współczesnych malarzy radzieckich, Sarjanie.

Scenariusz do filmu napisał znany pisarz Illa Erenburg, reżyserował L. Wagarszjan. Film ukazuje nie tylko ukończone dzieła artysty, ale i powstawanie obrazu, Sarjan maluje na szkle, widz może więc śledzić dokładnie powstawanie dzieła.

M. S. Sarjan urodził się w roku 1880 w niezamożnej rodzinie ormiańskiej. Ułubionymi tematami jego twórczości malarzkiej są pejzaże i portrety, choć maluje również martwą naturę, ro-

bi teatralne dekoracje i uprawia grafikę. Sarjan portretując (zwłaszcza członków swojej rodziny) umieszcza często obok modela maskę, której statyczne rysy symbolizują jakąś ideę, jak w maskach antycznych aktorów. W ten sposób malarz osiąga specyficzne efekty wizualne i wzruszeniowe. I tylko w jednym przypadku maska jest żywa, a portretowana twarz jest niemal jak maska. To właśnie wtedy edy namalował swój własny portret.



Martiros Siergiejewicz Sarjan

Wiele z dzieł Sarjana uległo zniszczeniu. W latach 1937-1938 oskarżony został o formalizm.

Zrozpaczony artysta pociął wtedy na kawałki te płótna, które miał u siebie. Dziś Martiros Siergiejewicz Sarjan uchodzi za jednego z najwybitniejszych artystów ZSRR. Jest członkiem Akademii Sztuk ZSRR.

Interesujące wiadomości o życiu i twórczości dzieł już osiemdziesięcioletniego Sarjana znajdują się w tygodniku „Niedziela” w numerze 49 z 1965 roku i w czasopiśmie „Sowietskij ekran” w numerze 2 z tego roku.

NOWA BIOGRAFIA PETOFFIEGO

Literacki Instytut Naukowy Węgierskiej Akademii Nauk pracuje nad wydaniem nowej biografii wielkiego węgierskiego poety z okresu Wiosny Ludów, Sándora Petőffiego (1823-1849). Dzieło ma dać naukową odpowiedź na szereg dotąd nie wyjaśnionych problemów, dotyczących życia i twórczości poety.

Kierownikiem prac badawczych jest węgierski historyk literatury Sándor Lukácsy. Pierwszy z trzech tomów biografii ukazuje się w 1967 roku. Przy pracach przygotowawczych współpracują naukowcy austriaccy, jugosłowiańscy, rumuńscy, polscy i słowaccy.

VERLAINE A UBRANIE

W „Figaro Littéraire” wybitny pisarz starszego pokolenia André Billy ironizuje na temat Akademii Francuskiej. W związku z uwagą historyka Pierre Gascotte, że w chwili obec-

nej we Francji tylko „Niesmiertelni” noszą szpady, Billy podnosi, że rozporządzają nimi także i sportowcy, matadorzy w walkach byków oraz „szwajcarzy”, którzy podczas „galowych” ceremonii są nadto uzbrojeni w halabardy. „do których niestety nasi akademicy nie mają prawa”. Billy wspomina czasy, gdy na zebraniach w Akademii przychodziły wielkie aktorki w kapeluszach z białymi oraz burszaczki, o którym już nikt nie pamięta. Artykuł jest zaopatrzony w karykaturę, na której wielki poeta Verlaine zazdrości Edmondowi Rostandowi, a demickiej chwali. „Trudno, był od mnie ładniej ubrany!” — wspomina wielki cygan, który pod koniec życia nie raz chodził w lachmanach.

POWIŚCI I EKSPRESJONISCI

Wystawa w Muzeum Sztuki Nowoczesnej w Paryżu dała okazję do porównania francuskiego fowizmu z początkami niemieckiego ekspresjonizmu.

Wielu historyków sztuki zwracało uwagę na podobieństwa mimo istniejących różnic, pomiędzy francuskim fowizmem, a niemieckim ekspresjonizmem. Do tej pory nie było jednak okazji do sprawdzenia tego przy jednoczesnym oglądaniu wystawie obrazów umieszczonych w porządku chronologicznym, tak, aby można było prześledzić twórczą ewolucję każdego z artystów oraz oddziaływanie jednych malarzy na drugich.

Nazwa fowizm powstała właściwie przez przypadek. Krytyk sztuki, Louis Vauxcelles, zwie-



Ernst Ludwig Kirchner — „Akt dziewczęcy na kwiatach”

POLONICA

ZMARŁA STANISŁAWA KUSZELEWSKA

Zmarła w Londynie za służoną tłumaczka utworów Jacka Londona i Józefa Conrada — Stanisława Kuszelewska. Była ona ponadto autorką studium o Londonie, opublikowanym w przedwojennym „Skamandrze”, oraz autorką dwu oryginalnych powieści: „Dziwy życia” i „Kobiety”. Zajrzeliśmy do wydawnictwa „Wielkiej Encyklopedii Ilustrowanej”, by zdobyć jakieś szczegóły o jej życiu. Niestety, nie znaleźliśmy tam w ogóle jej nazwiska. Cóż to więc za encyklopedia? W przedwojennej Encyklopedii Gutenberga nazwisko Kuszelewskiej figuruje, ale nie podano daty jej urodzenia. Obawa kobiet, nawet wybitnych i zasłużonych, przed ujawnieniem wieku jest zaiste śmieszna.

WYSTAWA POLSKIEGO PLAKATU

W Muzeum Sztuki Stosowanej w Bazylei (Szwajcaria) otwarta została wystawa plakatów polskiego. Wystawa obejmuje 80 eksponatów warszawskich i krakowskich artystów. Największe uznanie zdobyły sobie plakaty Józefa Mroszczyka, Henryka Tomaszewskiego i Jana Lenicy. Krytyka szwajcarska podkreśla ogromne walory wystawionych prac. Zwraca ona uwagę, że na wystawie nie znalazł się ani jeden plakat łódzki go plastyka. Czy znaczy to, że nasi plastycy nie „uprawiają” plakatu, czy też, że nie zakwalifikowano żadnej z nich prac?

NAGRODA DLA KOBZDEJA

Ostatnio nasi artyści mają szczęście do nagród austriackich. Po Zbigniewie Herbercie, który otrzymał międzynarodową nagrodę austriacką im. Lenau'a, nowym laureatem stał się Aleksander Kobzdej. Ten znany, wybitny rysownik i malarz, otrzymał nagrodę Uniwersytetu Wiedeńskiego im. Herdera w wysokości dziesięciu tysięcy franków szwajcarskich.

Dodajmy przy okazji, że obecnie Kobzdej wyklada w hamburskiej Akademii Sztuk Pięknych, a wkrótce odbędzie się wystawa jego obrazów i rysunków w Essen.

BROSZKIEWICZ W BOCHUM

Sztuka Jerzego Broszkiewicza „Imiona władzy” została wystawiona w Bochum (NRF). W gazetce „Frankfurter Allgemeine Zeitung” (1 stycznia br.) znajduje się recenzja z premiery sztuki Broszkiewicza. Reżyseria: Max Fritsche, scenografia: Walter Gondolf. Recenzent chwali wykonawców, a o samym utworze pisze między innymi: „Autor potrafi znakomicie bawić i nigdy nie schodzi poniżej poziomu, kiedy widz przestaje myśleć i zastanawiać się. Duże brawa!”

WYSTAWA W TATE GALERY

W londyńskiej Tate Gallery odbywa się wystawa prac polskiego artysty Zygmunta Turkiewicza. Turkiewicz, liczący sobie obecnie 52 lata, był do niedawna jeszcze autorem licznych dzieł o charakterze figuratywnym, przedstawiających pejzaże i portrety. Na wystawie londyńskiej pokazał po raz pierwszy swoje malarstwo abstrakcyjne. Krytyka z uznaniem odnosiła się do eksperymentów artysty, wróżyć mu i w tym względzie dużą przyszłość.

R. Zablocki

POLONICA

Notatnik KULTURALNY

PONIEDZIAŁEK
Rodzianie za granicą i nie dziwne, bowiem Łódź jest już całą gębą oknem na świat.
Warna, ach Wara nazwa kochana nagrodziła na I Międzynarodowym Festiwalu Filmów Oświatowo-Sanitarnych Łódzki film dokumentalny pt. „Szukamy człowieka”. Fajnie! Może teraz mniej ostro będą przyszukiwali człowieka bulgarski celnicy.
Ale cóż to! „Pstrąg”, nasz „Pstrąg” czyni gorące powołanie do „Podróży Gulliwera”, z którym to spektaklem prezentuje się sympatyczny zespół w Nancy (Francja) jako jedyny (jedyński) polski zespół na V Światowym Festiwalu Teatru Studenckiego. Veni, vidi, vici! Należy życzyć. No nie! Tego jeszcze nie było! Ze premierem może być kobieta, to rzecz oczywista, ale ze prof. J. Teoplitą wyłożył pani Gandhi swój pogląd na te sprawy — nawet przedmiotem Erali indyjskiej to rzecz niezwykła. Teoria polskiej kinematografii ma obecnie szansę wywrzeć duży wpływ na praktykę

WTOREK
Została otwarta wystawa współczesnej plastyki użyta kowej. Plastyka użytkowa. Wielkie słowo dla szerokiego rzeszy użytkowników. Boć przecie wszystko na co patrzymy, dotykamy widzujemy, rozdzielony — to potencjalnie plastyka użytkowa. Nic w naturze nie ginie, najwyżej przekształca się. Lasy w guście wnętrza, deski sceniczne i papier w różnych gatunkach. Dzięki zwierzęta w dzicyżną z makaronem, domowe zwierzęczki i ZOO.
Człowiek przekształca świat, rzecz można śmiało, także plastyką (użytkową). Już niebawem wszystko na czym oko spocznie — cauczko.
Jedna wielka rozkosz obcowania z krajobrazem, urbanistyką, każdym najmniejszą przedmiotem (moim zdaniem, „najniebezpieczny” nawet przedmiot na swój heroizm i winien być piękny) — słowem z zewnątrz i wewnątrz. Takie wystawy ukazują wysiłek projektowania co-

ŚRODA
Wszelako nie tylko my w świat, „świat” również do nas: Ogólnopolski Festiwal Poezji w Łodzi.
Maj, kwitną drzewa, pachną kwiaty, bzy kłują w „miłosnych szelmkach” wieczorową porą i do tego jeszcze poezja. Żywa polska poezja wśród łódzkich kominów. „Idealnie sięgnął bruku”; szlifują poeci chodniki podszewkami, niby jak inni, a w duszach gra nieprzejętnie i wzięte szalone w oczach i słowa, jak kamienie rzeka, szlifuje imaginacja nie bacząc na czerwone światła i pasy na jezdni.
Nie mam na myśl miłośników poezji, ale wszystkie pedanckie i skrupulatne, systematyczne i porządnicze nie rzucając w poezyjny ciężki głazem pogardy za to, że będą dawał do przecięcia konduktorowi bilet teatralny, że wyjdą z „samca” z pustym koszykiem w ręku, że zupę będą jedli widelcem. Poza takimi i innymi matymi usterekami poeci posiadają wszystkie cechy ludzkie. Ale prawdziwy poeta, nawet zatrząsany w kiozecie, marzy, jakby słowem wyrzucił nowe granie: tym się wyróżnia. Nie rzucając zażdanymi, za ascetów błędnymi, on jak sejmograf czuli i jak skrzype

CZWARTEK (tłusty)
Zjadło się mnóstwo pączków, popłó (herbatka) poczuło z całą ostrością twarde dno upadku w he donizm. Bo czymże jest karnawał? Siedem grzechów głównych jak siedem krów tuustych legnie się w czwółku, gdy otoczą go pulchne ramiona, mięsne przekąski i pełne butelki.
Niepozorny wegetarianin rozwierca swoją przemianę materii pieprzonymi kawałkami, skacze na palecnych nożkach i beczelnie uwołdzi dziesięćdziesięcio kilogramową żonę własnego kierownika.
Oczywiście efekty są opłakane. Nikt siebie nie przekroczy nawet w karnawale, a o upadek nie trudno.
Więc póki czas należy rozbudzić w sobie szlachetniejsze i wyższe pragnienia. Wszystkim, których nekąją wrzuty sumienia, ból głowy i zgaga polecam: nie czytać Boccaia, Anatola France'a, Woltera i Andrzejewskiego, a wziąć się za stoików uczących jak panować nad żądźkami, za ascetów błędnymi rozwiązańcie cłało i Leszka Kotakowskiego,

PIĄTEK
Rzecz o prawdziwej sztuce — jeżdżeniu na łyżwach. Próbowaliśmy. Nie takie trudne, ale trzeba umieć. W meczu Polska — ZSRR wszystko szło (ślizgało się) nieźle przez dwie trzecie. Przed trzecią wjechał na lodowisko mechaniczny pojazd ciągnący, czworokątną grzałkę, która doprowadziła lód do idealnej gładkości. Lot krążka nabrał większego przyspieszenia, co z kolei zmusiło zawodników obu drużyn do większej zwrotności, szybkości i techniki.
Sądząc, że nie tyle brał kondycyjne naszej drużyny, co braki w opanowaniu jeżdżenia sprawiły, że przegraliśmy te trzecie 0:3, przegrywając cały mecz. Nieustające kłopoty ze sztuką, ale i tak coraz le-
SOBOTA
Stowarzyszenie Polskich Artystów Muzyków Oddział w Łodzi uprzejmie zaprasza na 47 koncert kameralny w wykonaniu prof. Marii Wilkomirskiej i prof. Kazimierza Wilkomirskiego. W programie sonaty. Oto uczta godna. Wiadomo — Wilkomirskich nigdy za wiele, to wysoka klasa muzyki kameralnej; wiadomo — Bach, Beethoven, Skriabin, Brit-

demaskującego diabła. Za rok jak ręką odjął, odechcał się karnawalu, tuustych czwartków itp. bezczesneństw. Myśl posybuje w kwiecie ogrodów „czystej sztuki”.

ten... Sniło mi się później, że jestem kędzierzawym aniołkiem, trącającym struny wiolonczeli paluszkami.

NIEDZIELA
— Ma się to szczęście — myślałem w niedzielę, złożył zony na tapczanie przedwojennym grypy. Tegoroczny „obchód” klubów przyzakia klubowych zaczął od „Klubu pod Żurawiem”, zorganizowanego przy Łódzkich Zakładach Budownictwa Uprzemysłowianca.
„Scena literacka” że żyć czyć takiej wszystkim klubom. Atmosfera przyjaźni, zapal i zamiłowanie sztuki złożyły się na to, że „scena literacka” mogła się pokusić o ambitny i całkowicie własny program i własnych wykonawców. Piotr Boćko dał zapowiedź talentu w dwóch tekstach, które reżysero i inscenizacyjnie opracował Stefan Tjrschmid. Scenografia Karola Wagnera, kierownika klubu. Spektakl wyjątkowo ambitny, tym bardziej że często jeszcze przez wiele klubów organizowanych „spektakli-składanek”, opartych na banalnych tekstach, bez opieki reżyserkiej i konsultacji literackiej.
Ciekawie i w dojrzały sposób dyskutowali oспектаклю młodzi twórcy, wykonawcy i sympatycy sympatycznego klubu.

PRZECZYTAJ W TRAMWAJU * PRZECZYTAJ W POCIAGU * PRZECZYTAJ U DENTYSTY *

KIM LANG

ZEMSTA
KOBIECY

Tiberius, wielki czarny pies, który leżał przy kominku, podniósł uszy zaniepokojony krzykiem Ernesta. George Jaxtheimer był pijany, i gdy brat podsuwając rachunki pod nos zaczął mu grozić, że nie da więcej pieniędzy i zmusi go do pracy nawet w charakterze prostego robotnika w swoim browarze — chwycił duży mosiężny pogrzebacz i z całej siły uderzył Ernesta w głowę. Następnie napił się whisky i z pogrzebaczem w dłoni poszedł do szeryfa.

George zachowywał się bardzo spokojnie, gdy po prawie sądowej ogłoszono wyrok śmierci przez powieszenie. Od egzekucji dzieliło go sześć tygodni. W tym czasie tłumnie odwiedzano go w celi więzienia. Czystym gościem był zaprzyjaźniony lekarz. W czasie jednego z wspólnych posiłków George oświadczył lekarzowi, że chciałby się przed śmiercią ożenić.

— Z kim?
— Z Laetitią Sargent — nauczycielką łaciny.
— Czy ty oszalał!
— Nie. Co więcej — chcę, abyś był świadkiem na naszym ślubie. Ta dziewczyna bardzo mnie kocha i dlatego postanowiłem uczynić ją bogatą.

Ślub odbył się na dwa dni przed egzekucją. Sędzia szybko wyrecytował formułkę zaślubin, nastąpiła wymiana obrączek i młodzi małżonkowie pozostali sami w celi więziennej. Jednakże ostatniej nocy nie spędzili razem. Laetitia opuściła męża za ledwie po północy i wtedy George wzewał do siebie swojego przyjaciela lekarza.

— Mam do ciebie największe zaufanie, drogi doktorze

i dlatego czynię cię zarządcą mego majątku. Proszę, oto upoważnienie. W domu za portretem mego ojca znajduje się skrytka. Znajdziesz tam pół miliona dolarów. Chciałbym, abyś pomógł Laetiti rozsadnie wydawać pieniądze.

Tuż przed egzekucją szeryf czekał przed drzwiami celi. Nagle otworzyły się główne drzwi i weszła Laetitia. Była ubrana na czarno. Twarz miała zakrytą woalką. Podeszła do szeryfa.

— Chcę się zobaczyć z mężem. Bardzo bym prosiła, aby nas pozostawiono samych.

Szeryf popatrzył na jej torbę.

— Dobrze, ale musi mi pani obiecać, że więźniowi nie stanie się nic złego.

— Nie mam zamiaru pomagać mu w samobójstwie. Jeśli ma pan ochotę, może pan mnie zrewidować.

— Ależ nie, wierzę pani. Poza tym nie mamy już zbyt wiele czasu.

Szeryf otworzył celę i wpuścił Laetitię. Po chwili wyszła ze spuszczoną głową przesłaniając oczy ręką. Placze, pomyślał szeryf i kiedy chciał ją pocieszyć — odskończyła gwałtownie i szybko wyszła.

Był już najwyższy czas, by wyprowadzić więźnia. Szeryf wszedł do celi, George klekcząc przy łóżku z głową wtułoną w ramiona. Szeryf położył więźniowi rękę na ramieniu, a kiedy ten uniósł głowę — szeryf zobaczył z przerażeniem, że jest to Laetitia przebrana w garnitur George'a.

— A niech to wszyscy diabli! — krzyknął.

— Czy George uciekł? — spytała.

— Tak! I pani mu w tym pomogła!

— Uratowałam mu życie... Szeryf wybiegł na podwórze. Dopadł konia i popędził na stację.

Zawiadawca stał na peronie i patrzył i oddalający się pociąg. Oczywiście widział George'a, który wsiadał do wagonu.

— Dokąd pojedziesz? — spytał szeryf.

— Nie wiem. On nie zdążył kupić biletu.

— Zatelegrafujcie do najbliższej stacji. Szybko!

— Chętnie, ale on zerwał kabel dragiem z wagonu bagażowego.

Następnego dnia po zwolnieniu Laetiti z aresztu odwiedził ją lekarz, jednakże w bibliotece w sejfie za portretem nie znalazł powierzonych mu pieniędzy. Kiedy powiedział o tym Laetiti, ta rozesmiała się.

— Mianowanie pana wykonawcą swej woli uważał George za jeden z punktów planu ucieczki. Chodziło o to, by wszyscy myśleli, że on pogodził się z wyrokiem. Ale muszę panu powiedzieć, że pieniądze z sejfu dostarczyłam Georgowi podczas jednej z wizyt u niego w więzieniu. Postanowiliśmy, że w najbliższym czasie George da znać o sobie i niebawem w umówionym miejscu mamy się spotkać.

Dwa tygodnie później Laetitia wezwała do siebie lekarza. Kiedy przyszedł, sama otworzyła mu drzwi, a Tiberius zaczął się do niego iść, usiłując polizać go po twarzy. Odpędziła psa i zaprosiła lekarza do biblioteki. Usiedli w fotelu i milczeli przez chwilę.

— Mój mąż miał do pana zaufanie. Gdybym nie znalazła pana wcześniej, przyjaźń z Georgiem uważałabym za wielką ujmę. Proszę, oto list, który otrzymałam od jego kochanki Marii Hernandez. Pisze, że oboje zamieszkali w Chicago, a George nie ma ochoty więcej się ze mną zobaczyć. Użył mnie jedynie dla wydobycia się z więzienia. Tak wygląda cała sprawa. A ja naprawdę go kochałam... To była szaleńcza ucieczka. Wszystko mogłoby być farsą, gdyby nie obecność karta i szubienicy. A George uciekł... Zabrał pieniądze, kochankę i uciekł do Chicago.

— Czy zostawił pani chociaż trochę pieniędzy?
— Nie. Pozostał po nim jedynie dom, Tiberius oraz dług do spłacenia. Wprowadziłam dom jest ubezpieczony na pięćdziesiąt tysięcy dolarów, ale... Nie wiem, czy nauczycielska pensja wystarczy mi na opłacenie podatków.

Lekarz postanowił wydobyc ją z kłopotów finansowych. Długo zastanawiał się nad

sposobem i doszedł do wniosku, że jedynym wyjściem będzie podpalenie domu. Była już prawie północ, kiedy lekarz znalazł się przed domem Laetiti. Wybrał tę porę, ponieważ uprzednio dowiedział się od niej, że w szkole odbywa się jakaś uroczystość, co oczywiście zapewniłoby Laetiti gwarantowane alibi. Gdy był już zupełnie blisko — w oknach zobaczył kolyszące się pionyki ognia i usłyszał skowyt psa. Nagle płomienie wystrzeliły do góry, a skowyt zamienił się w wycie. To był z pewnością Tiberius i za wszelką cenę trzeba go uratować, pomyślał. Podbiegł do drzwi i zaczął szamotać się z zamkiem. W tym momencie płomienie i dym zmusiły go do cofnięcia się na trawnik. Po chwili dach zawalił się z hukiem wśród iskier i dymu. Lekarz, oszołomiony, z trudem podniósł się, ale natychmiast oprzytomniał, kiedy usłyszał dzwonienie na alarm. Przypomniał sobie o celu swojej wizyty, wrócił więc szybko do domu. Kiedy później przyjechał na pogorzelsko, zastał tam tłum ludzi, krzających się strażaków oraz Laetitię. Podeszł do niej. Ponieważ była tylko w sukience, okrył ją swoim płaszczem.

— Cate szczyście, że dom był ubezpieczony — powiedział.

— To prawda. Czy wiedziała pani, że Tiberius był uwięziony w kuchni?
— To bardzo przykre. Lubiałam tego psa. Ale chodźmy już, bo jest zimno...
Laetitia zamieszkała przy szkole. W kilka tygodni po pożarze towarzystwo ubezpieczeniowe wypłaciło jej odszkodowanie w wysokości pięćdziesięciu tysięcy dolarów.

Pewnego dnia lekarz spotkał ją na ulicy z olbrzymim czarnym psem ludzako podobnym do Tiberiusa.

— Nie wiedziałem, że pani tak bardzo lubi psy. O ile sobie przypominam, bardzo wzruszyła się pani śmiercią Tiberiusa.

— To jest zupełnie inna sprawa. Po prostu Caligula jest mi w tej chwili bardzo

potrzebny. Zbyt wielu mężczyzn zaczyna się mną interesować.

— Dlatego kupiła pani psa...
— Tak. Specjalnie tresowanego psa i rewolwer, na wypadek, gdybym musiała się bronić.

Tego wieczoru lekarz postanowił odwiedzić Laetitię. Podeszł do drzwi z bukietem róż i zapukał. Nie było odpowiedzi. Zapukał mocniej. Nagle usłyszał krzyk:

— Nie! Zupełnie nie! Naciśnął klamkę. Drzwi były otwarte. Wszelkie inne głosy przytłumiło wściekłe ujadanie psa. Gdy lekarz znalazł się w kuchni — zobaczył Caligulę wczepionego w gardło leżącego na podłodze mężczyzny. To był George Jaxtheimer. W tym momencie huk wstrząsnął powietrzem. Trafiony kulą pies za-

skowyczał i opadł obok swojej ofiary. Laetitia wciąż trzymała rewolwer gotowy do strzału. Lekarz podeszł do niej i wyjął jej broń z ręki.

— Skąd się tutaj wziął George? — spytał.

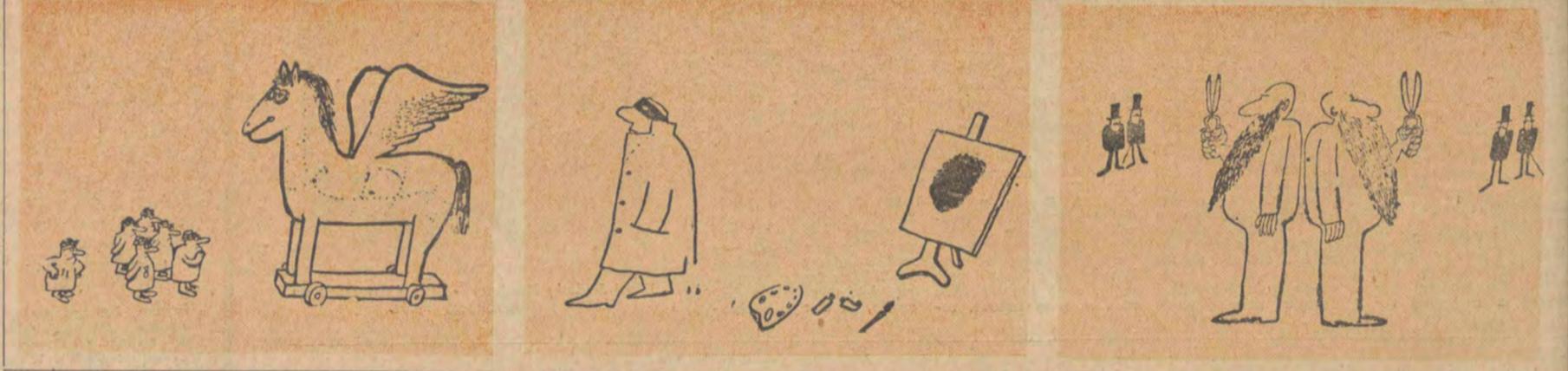
— Był zbyt chciwy. Przeszedł po pieniądze z ubezpieczenia. Wiedziałam, że przyjdzie.

— Dlaczego Caligula go zaatakował?
— Bo krzyknęłam. George podeszł do mnie i chciał mnie uderzyć, ale nie zdążył... Nie zwrócił uwagi na Caligulę myśląc, że to Tiberius... Szkoda, że nie zdążyłam zastrzelić Caliguli zanim rzucił się na George'a...
Lekarz podniósł różę z podłogi i podał je Laetiti.

Tłumaczył:
ROMAN GORZELSKI

SPEKTAKLE tygodnia

Film	
WŁOKNIARZ	„Złoto Alaski”, 35 seansów 17.877 — 95%
STYLOWY	„Kochać”, 12 seansów 5.262 — 100%
TEATR	
NOWY	„Lato w Nohant”, 3 spektakle 2100 — 100%
	„Alibaba i 40 rozbójników”, 3 spektakle 1800 — 90%
MAŁA SALA	„Indyk”, 1 spektakl 200 — 100%
	„Lekcja szaleństwa w dwoje”, 2 spektakle 400 — 100%
	„Anioł na dworcu”, 2 spektakle 380 — 90%
POWSZECHNY	„Dom otwarty”, 3 spektakle 1976 — 100%
	„Tango”, 3 spektakle 1883 — 94%
JARACZA	„Kolumbowie — rocznik 20”, 4 spektakle 2500 — 93%
	„W pustyni i w puszczy”, 3 spektakle 1830 — 90%
7.15	„Kłameczucha”, 6 spektakli 2526 — 100%
OPERETKA	„Sewastopolski walc”, 7 spektakli 5256 — 67%
OPERA	„Fra Diavolo”, 1 spektakl 589 — 90%
FILHARMONIA	Koncerty symfoniczne, 2 spektakle 773 słuchaczy 70%
ESTRADA	Program estradowy z okazji 20-lecia ORMO (w Hall Sportowej) 8100 widzów 100%



PRZECZYTAJ W TRAMWAJU * PRZECZYTAJ W POCIAGU * PRZECZYTAJ U DENTYSTY *



Lewym
okiem

W CIECHOCINKU, ŁAŃCUCIE I ŁODZI

Na dorocznym sprawozdawczo-wyborczym zebraniu łódzkiego oddziału Związku Literatów Polskich każdy prawie mówca stwierdzał wzrastającą aktywność naszych pisarzy, poświadczoną przede wszystkim długą listą wydanych w ostatnim roku książek. Bardzo ładnie. W sztuce wprowadzić ilość niechętnie przechodzi w jakość. Skoro jednak zasadniczą produkcją warsztatu literackiego są książki, a ich jakość pozostaje niezbyt wymierna — poprzestaniemy tymczasem na wskaźniku ilościowym i cieszymy się jego systematycznym wzrostem.

Bardzo ładnie. Nazwiska łódzkich pisarzy spotkacie w wityrnach księgarń całego kraju. Nie tylko. W dalekiej Sofii tamtejsi nasi koledzy po piórze proszą o przekazanie pozdrowień swym znajomym — Piechalowi, Huszczy, Bilińskiemu. Są to ich znajomi z Sofii, nie z Łodzi. Co drugi pi-

sarz w Niemieckiej Republice Demokratycznej zna Koprowskiego. Poznali go w Lipsku, Berlinie i Weimarze, nie w Łodzi. Wszyscy — i w Bułgarii, i w Niemczech, i nawet w Czechosłowacji zaskoczeni są gdy im powiedzied, że Łódź jest drugim po Warszawie miastem. Naprawdę? Nie Kraków, nie Wrocław, nie Poznań?

W jednym z listopadowych numerów ubiegłego roku podawata „Kultura” wielki na całą kolumnę informator o imprezach kulturalnych w latach 65/66. „Sezon w pełni”, nazywał się ten informator. Było tam o festiwalach muzycznych w Ciechocinku i Łańcucie, o klasykach polskich w teatrach Tarnowa i Białogostoku, o klasykach światowych na scenach Koszalina i Szczecina, o wybitnych przedstawieniach w Kielcach, Częstochowie, Grudziądzu, o wystawach w Katowicach i Wrocławiu. Nie było tylko ani jednej, choćby najmniejszej wzmianki o Łodzi.

Czy to jest znów kompleks niższości, kompleks prowincji, gdy się stwierdza, że jakoś nas za mało widzą? Czy to cieką bliskiej stolicy przesłania o czym opinii dojrzał skromny kawałek polskiego życia kulturalnego, a może polskiego życia w ogóle?

Goście zagraniczni, ci podróżujący w ramach wymiany kulturalnej, nie docierają do Łodzi nigdy. Może nie chcą, może im tego nie sugerowano. Turystycznych rarytasów u nas nie ma. Jest tak zwany „teren” — na pewno interesujący socjologicznie, na pewno charakterystyczny dla modernizującego swój ustrój gospodarczy kraju, na pe-

wno mający walor twórczy, choćby tylko reportażowego, jeśli nie beletrystycznego. Jest środowisko twórcze, które ma pewne powody do uznania się właśnie za twórcze i ma niejaki na swym koncie aktywa, o czym było na przykład w sprawozdaniu ustępującego zarządu oddziału ZLP. Tyłko że takie sprawozdania nie docierają chyba nigdy do ośrodków masowego przekazu. Niekoniecznie w całości. Nikogo nie interesuje, czy pisarz X brał stypendium, czy pisarz Y mu zazdrościł. Ale jakiś konspekt, jakiś surowiec...

W stołecznych czasopiśmie kulturalnych nie widzisz korespondencji z naszego miasta. W krakowskich tym bardziej nie. Nie ma nas. Nie ma nas na wielkim Targowisku Próżności, nie ma na dziedzi, na której w zgłębku i zamęcie, ale też w ekscytującej, twórczej wymianie poglądów krystalizują się wartości, krzepną autorytety, pękają nadmuchane baloniki.

Nie wiem, dlaczego tak jest. Skąd „Kultura” wie, że za dziesięć miesięcy odbędzie się w Kamieniu Pomorskim Festiwal Muzyki Organowej? Czy przez te dziesięć miesięcy w Łodzi — większej czterdziestokrotnie od Kamienia Pomorskiego — nie się godnego uwagi nie zdarzy? Jeśli się zdarzy, to dlaczego „Kultura” o tym nie wie?

A jeśli nie to helas, jak mówili starożytni, ale może nie jesteśmy środowiskiem aktywnym? Może trzeba nam przysłać instruktorów, trenerów, specjalistów?

ĆWIEK